

PISMO DLA RODZIN.

№ 8. Warszawa, dnia 13 (25) Lutego 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12. w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

Zwierzyniec Warszawski

i znaczenie tego Zakładu.

Warunki życia społecznego przekonywają nas, że bez zwierząt istnienie człowieka cywilizowanego jest niemożebne, czyny zaś nieustannie dowodzą, że najniebezpieczniejszym wrogiem jest ród ludzki, który w dążeniach ich do osiągnięcia dla siebie wszelkiej możliwej korzyści, przez nierozsądne używanie, narusza równowagę w ogólnej ekonomii przyrody. Rozszerzanie więc pomiędzy wszelkiemi warstwami społecznemi przyrodoznawstwa, to jest właściwych pojęć o warunkach, pod jakiemi godzi się korzystać z darów przyrody; o znaczeniu różnych zwierząt dla człowieka i potrzebie ochrony użytecznych z nich—ma wielkie znaczenie.

Tylko bowiem drogą wykształcenia— możemy dojść do zmniejszenia nadużyć, nadwyrężających prawa ogólnej ekonomii przyrody, a obok tego, podążać do wzrostu bogactwa narodowego, przez powiększanie zapasów pokarmów mięsnych i racyjonalną przeróbkę różnorodnych produktów zwierzęcych.

Dzisiaj coraz zwiększający się nacisk potrzeb materyjalnych zwraca nasz wzrok na inne kraje, aby z tamtąd pozyskać to cośmy u siebie już utracili, a to zniewala do uznawania potrzeby uzupełniania i rozszerzania faktycznie istniejącej nauki i doświadczeń z niej wypływających. Wykształcenie teoretyczne dotychczas jeszcze dostępne jest dla klas zamożniejszych, tymczasem praktyczne zastosowanie praw przyrody, ściśle związane jest z życiem i powszedniemi potrzebami przeważnie biednej ludności, która we względzie korzystania z darów przyrody, nie daje sobiejasnego sprawozdania, lub też postępując bezwiednie, nie tylko że nieosięga należytej korzyści, lecz częstokroć wyrządza sobie i ogółowi szkody, niekiedy nie dające się naprawić i wynagrodzić.

Pierwsze bogactwo nasze stanowią zwierzęta, ptastwo i wszelkie istoty ożywione, ziemne i wodne. Bez nich nie masz nie może być miast, wsiów, dróg, tam, portów i t p. Bez nich czemże byłoby rolnictwo, handel, przemysł, nauki, sztuki. Jak istoty mogą żyć pod opieką samego przyrodzenia, tak przeciwnie człowiek rzucony nagi na nagą ziemię bez nich obejść się nie może.

Główny pokarm dostarczają nam zwierzęta, oprócz tego mamy z nich futra, wełnę, skóry, tłuszcz, puch, pióra, umierzwienie roli i t. p., jedne służą nam swą siłą i inne zjawiają się w obec człowieka jako jego wrogi, inne zaś jako niezmienni przyjaciele i obrońcy. Wszystko to zaś dowodzi że zaznajomienie się z ich życiem i potrzebami dla każdego z nas stanowi wielką potrzebę, zwłaszcza co do zwierząt użytecznych.

Nauce teorytycznej niezaprzeczenie zawdzięczamy prawdziwe zrozumienie praw przyrody, lecz w nowszych czasach dzielnym środkiem ułatwiającym obznajmienie się z życiem królestwa zwierzęcego, stała się nauka *praktycznej zoologii* wskazująca prawidła, racyjonalnej hodowli różnych—a przeważnie użytecznych zwierząt. Stosując prawa przyrody w podtrzymaniu wszelkich warunków potrzeb życia zwierząt, społeczna nauka hodowli takowych, doszła do tak wysokiego znaczenia, o którym przed laty trzydziestu nawet nie było można marzyć. Otrzymane tą drogą rezultaty zyskały poważne uznanie ludzi naukowych i zachętę z ich strony do zobopólnych nadal dążeń do postępu.

Zakładami rozkrzewiającemi tę naukę stały się ogrody zoologiczne i aklimatyzacyjne, pod wpływem i przy współdziałaniu których, powstało mnóstwo podobnych zakładów, urządzonych na mniejszą skalę przez amatorów lub hodowców—ci ostatni przeważnie mają na widoku cele przemysłowe.

Już w starożytności zakładane były zwierzyńce, lecz te służyły do ozdoby rozległych siedzib możnych panów i zabaw ich rycerskich, miały one charakter menażeryj, lecz nie miały nic wspólnego z dążeniem do podniesienia ogólnej kultury.

Dopiero od lat dwudziestu kilku ogrody zoologiczne i aklimatyzacyjne zmieniły postać dawnych zwierzyńców i przybrały kierunek odpowiedni do potrzeb oświaty. Nabyły one podwójnego znaczenia społecznego: jako *zakłady edukacyjne*—pociągają i zachęcają publiczność wszelkich stanów do przyrodoznawstwa i wpływają na rozwój prawidłowych pojęć o przyrodzie zwierząt i ich znaczeniu dla człowieka, jako zaś *instytucyje ekonomiczne*, przyczyniają się do aklimatyzacyi rozmnożenia i upowszechnienia różnych zwierząt czystej krwi, lub poprawnych ras, przynoszą pożytek w gospodarstwach miejskich i wiejskich, albo też poszukiwane są przez amatorów.

Urzeczywistniając takie cele, ogrody aklimatyzacyjne i zoologiczne, skierowały wrodzone zamiłowanie człowieka do zwierząt, na drogę organicznej pracy około hodowli onych. Amatorstwo połączyło się z użytecznością, a ta nabierała coraz większego znaczenia dla ogólnego dobrobytu i pomnożenia bogactw narodów.

We wszystkich krajach rozwinęło się zamiłowanie do hodowli a nawet biedne klasy ludności, zaprowadziły racyjonalną hodowlę różnych drobnych, użytecznych zwierząt. W miastach i osadach fabrycznych rzemieślnicy i wyrobnicy, po wsiach właściciele ziemscy i dzierżawcy, zrozumiawszy prawdziwe znaczenie i korzyści wynikające z hodowli nieznanych im przed tem gatunków zwierząt, nabyli potrzebnych wiadomości do racyjonalnego ich chowu i rozmnożenia, a praca ich około tego opłaca się z lichwą.

Małe z początku kółka hodowców, stopniowo rozszerzyły się, potem pozawiązywały się stowarzyszenia dla zachęty i niesienia pomocy w tym celu, a chęć i umiejętność potrzebna przenikła we wszystkie warstwy społeczne. Ogrody zoologiczne lub aklimatyzacyjne swemi doświadczeniami i dostarczeniem zwierząt rozpłodowych, ułatwiają przedsiębiercom osiąganie ich celów przemysłowych.

Takiemi sposobami Anglija, Belgija, Holandyja, Francyja, Niemcy i inne kraje doszły do zadziwiających rezultatów. Hodowla różnych zwierząt doszła tam do takiego rozwoju i udoskonalenia, że w następstwie tego powstał uorganizowany handel takowemi, jako zupełnie nowa gałęź przemysłu i obfite daje źródło zarobku dla niezamożnej ludności, w niczem nie nadwyrężając trybu i porządku dawniejszych jej zajęć. — Zaiste godne są uwagi *cyfry statystyczne*, najwymowniej świadczące o szybkości wzrostu hodowli niektórych zwierząt. I tak: *we Francyi wywóz jaj różnych rasowych kur* doszedł do takich rozmiarów, o jakich my nie mamy pojęcia: w 1854 wywieziono 1,754,000 sztuk; w 1862 r. 14,674,000 sztuk, w roku zaś 1866 wywóz ten czynił już 38,021,000 sztuk, w ciągu więc 4 lat potroił się, a hodowcami byli sami mieszczanie i drobni właściciele gruntów w sąsiedztwie miast położonych *Dowóz jaj do Anglii* w 1843 wynosił 73,000,000 sz. w 1860 r, 203,500,000, a w 1866 r. 430878000 sztuk, wartość których czyniła 1, 097,197 funtów szterlingów.— We Francyi *przemysłowa hodowla królików*, jako zwierząt na rzeź przeznaczonych, reprezentuje kapitał 260,000,000 franków, (sztuka 3 ½ fr.). Paryż konsumuje rocznie przeszło 3 milijony sztuk Obrót skórkami królików, używanemi do fabrykacyi kapeluszy, wynosi przeszło 30 milijonów franków, na futra zaś za 8 milijonów franków. W Anglii, podług Lorda Malmesbury, w Nottingham sprzedają tygodniowo przeszło 3,000; do Birmingham dostarczają po 10,000, a przez Ostendę wprowadzają po 1 ½ milijona sztuk. Kuśmierze wyprawiają corocznie najmniej 30 milijonów skórek królików, a wartość mięsa tej samej ilości królików, oblicza się na 33,510 tonn w wartości 1 i pół milijona funtów szterlingów. W ostatnich kilku latach, od wojny francusko-pruskiej, w czasie której wojska niemieckie poznały we Francyi smak mięsa królików i nauczyły się cenić takowe, hodowla ich upowszechniła się w całych Niemczech, Austryi i Węgrzech, oraz w Szwajcaryi, a u nas dopiero teraz króliki różnych poprawnych ras, a głównie cenne leporidy (zajęczo-króliki) zaczynają się upowszechniać (ważą tuczone 18 funtów).

Z Belgii do Anglii tygodniowo wysyłają do 50,000 skórek, rocznie zatem przeszło 2 i pół milijona sztuk, w cenie po 1 ½—3 franków za skórkę; z Anglii takowe wysyłają do Ameryki, Francyi, Rosyi, Polski, Niemiec i t. d. otrzymując znaczne ceny. Niejedna elegancka dama, która mniema że posiada prawdziwe hermeliny, lub sobole, faktycznie nosi futerko z królików, tylko doskonale zapłacone.

Podług memoryjału p. de Vitry, przedstawionego w 1864 r. Towarzystwu Rolniczemu departamentu Sekwany, o użyteczności hodowli gołębi dla rolników, straty wynikłe dla Francyi przez opustoszenie gołębników w czasie rewolucyi, obliczone są rocznie na cztery milijony dwieście tysięcy funtów mięsa, (licząc 18 dniowe gołębie tylko po 8 łutów, chociaż zwykła waga dochodzi 12—16 łut.) Zwraca przy tem p. de Vitry uwagę na to, że zabiegli gospodarze, nie oddają inaczej swych dóbr w dzierżawę, jak pod warunkiem wystawienia na otwartych polach gołębników i utrzymywania w takowych pewnej liczby gołębi, gdyż ptaki te są najlepszemi czyścicielami zbóż ze wszelkich chwastów, a same żywią się tem tylko ziarnem, które wysypuje się z kłosów i dla rolnika zupełnie jest stracone, bez uszczerbku więc i kosztu nieużytki zamieniają w posilne i smaczne mięso.

Obok tak donośnego znaczenia hodowli powyżej wymienionych zwierząt, wieleby jeszcze można przytoczyć podobnych szczegółów o ciągle wzmagającym się handlu różnego rodzaju ptaków śpiewających i ozdobnych, psów, kotów i t. p. Odsyłamy jednak łaskawych czytelników po bliższe w tym względzie szczegóły do wszystkich prawie pism peryjodycznych niemieckich, francuskich i angielskich.

Teraz zaś w dalszym ciągu wyjaśnienia znaczenia ogrodów zoologicznych, rozszerzanie przy ich pomocy pomiędzy publiką wiedzy i zamiłowania do nauk przyrodzonych, usprawiedliwia my tem, że łatwe wrażenie się w pamięć postaci zwierząt, ich ruchów, skłonności, sposobów żywienia i t. p. przyczynia się do popularyzacyi nauki zoologii i służy za podnietę do dalszego dociekania wszelkich szczegółów panowania nad światem zwierzęcym. Wywołane przez rozum zastanawianie się nad przyrodą, obudza w człowieku wrodzone mu zamiłowanie do zwierząt; wpływa na złagodzenie charakteru i podniesienie osobistej godności człowieka, a to mu niepozwala uciekać się do tyrańskich nadużyć w wyzyskiwaniu zwierząt dla swych potrzeb i usług.

Ze stanowiska tych zadań, jakie się mieszczą w programie „Opiekuna Domowego, należy jeszcze uwydatnić, że ogrody zoologiczne w stosunku do dziatwy naszej, są dla niej prawdziwym rajem. W nich bowiem dla rozrywek i niewinności dzieci nie ma nic niebezpiecznego, bo wszystko przyczynia się jedynie tylko do skierowania ich ciekawości i chęci rozumowania, na właściwą drogę. Wrażliwość umysłu dziecięcego, wywołuje przejęcie się naturą, kształcąc pojęcia i zamiłowanie do tworów przyrody. Wobec żywych, skaczących, bawiących się i dbałych o swe potomstwo zwierząt, dziecko zastanawia się, okazuje współczucie dla nich, rozbudza swą pojętność i doznaje radości i zadowolenia, zapominając nawet o swych ulubionych lalkach. Nieustające zapytania czynione rodzicom, pobudzają i tych do myślenia i skłaniają do objaśnień a to staje się ogniwem duchowego ich łączenia się i źródłem pociechy, bo dzieci każdy objaw w naturze, starają się wyrazić odpowiednią myślą i zdaniem. Tu więc rodzice, lub ich zastępcy mają obszerne pole do nauczenia dzieci uwielbiać mądrość i dobroć Stwórcy wszech rzeczy, która się przejawia w Jego dziełach i upomina człowieka, aby uznawał rękę Bożą w tem wszystkiem co żyje aby szanował każdą istotę, a przedewszystkiem swego bliźniego.

Wobec powyższych wyjaśnień znaczenia ogrodów zoologicznych i aklimatyzacyjnych—tak pod względem ekonomicznym jak i humanitarnym, łatwo zrozumieć że takowe są wynikiem potrzeb tegoczesnej oświaty i postępu w ogólnej kulturze. Dla tego też cały świat ucywilizowany przyznaje wielki pożytek z podobnych ogrodów, a to skłania publiczność do udzielania środków na zakładanie i utrzymywanie takowych, ku czemu i wszystkie Rządy udzielają swego poparcia. Zasiłki pieniężne, dary w zwierzętach, żywności dla nich lub stosownych pomieszczeniach i nieprzerwane zwiedzanie tych ogrodów za pewną opłatą, sprawiają, że takowe kwitną i rozszerzają się w Paryżu, Lionie, Marsylii, Hadze, Amsterdamie, Rotterdamie, Gandawie, Brukselli, Antwerpii Lungdunie, Frankfurcie nad Menem, Monachijum, Sztutgardzie, Karlsruhe, Hanowerze, Hamburgu, Kolonii, Berlinie, Dreźnie, Wrocławiu, Petersburgu, Moskwie, Londynie, Kopenhadze i w wielu innych miastach.

Wobec tak ogólnego ruchu na tej drodze, takowy dotychczas nie rozwinął się w naszym kraju. Jednakże pominąwszy na chwilę cele humanitarne, a zastanawiając się nad potrzebami właściwie ekonomicznego znaczenia, uznać należy, że urządzenie publicznego zakładu zoologicznego, dla racyjonalnej hodowli i rozpowszechnienia różnych użytecznych zwierząt. w obecnym czasie stanowi konieczną potrzebę naszę. Ludność nasza ciągle wzrasta, a produkcyja pokarmów mięsnych nie tylko nie powiększa się odpowiednio do przyrostu, lecz zmniejsza się owszem, co dowodzi niedostatecznego rozwoju hodowli inwentarza w gospodarstwach naszych.

Również i to jest widocznem, że się powiększa i liczba hodowanych w kraju drobnych zwierząt i ptastwa domowego, a produkcyja przerobów mlecznych, oraz przemysł rybny polowania i t. p. coraz upada, skutkiem czego nie ma takiej obfitości pokarmów pożywnych, jaka okazuje się konieczną dla konsumcyi krajowej, a wzrastające ceny wszelkich produktów żywności stają się niedostępnemi, zwłaszcza dla biedniejszej ludności.

Taki stan rzeczy najlepiej uwydatnia potrzebę organicznej zachęty mniej zamożnych klas ludności naszej, aby w widokach poprawy nietylko swego, lecz ogólnego dobrobytu, zajęły się hodowlą różnych gatunków drobnych

zwierząt, a dla dopięcia tego celu, instytucyją ułatwiającą możność i właściwe środki rozwoju, może być jedynie zakład zoologiczno-aklimatyzacyjny.

W takim zamiarze, oraz w celu zachęcania publiczności naszej do badania przyrody i obznajmiania się z królestwem zwierząt, p. Ferdynand Bartels znany miłośnik przyrody i hodowca od lat przeszło dwudziestu różnych zwierząt, pozostając w ciągłych stosunkach z uczonemi zoologami i dyrektorami zagranicznych ogrodów zoologicznych, śledzący za nieustannym rozwojem ich i wpływów, jaki wywierają na masy ludności, od trzech lat założył w Warszawie, przy ulicy Hożej pod Nr. 17, mały zwierzyniec w którym różnych kilkunastu okazów zwierząt drapieżnych, przeważnie krajowej fauny, oraz ptaków śpiewających i ozdobnych, krajowych i zagranicznych, prowadzi hodowlę drobnych zwierząt, przydatnych dla gospodarstw wiejskich i miejskich. Są w tym zwierzyńcu psy różnych ras, dla amatorów lub do polowania i innych posług przydatne; kilka gatunków gołębi, między któremi pocztowe angielskie, francuskie, belgijskie i amerykańskie; jest kilka ras kur, niosących rocznie po dwieście kilkadziesiąt jaj, ważących po 4 łuty i więcej; hodują się w racyjonalny sposób króliki normandskie, holenderskie i francuskie, z pomiędzy których szczególnie odznaczają się leporidy, czyli zające-króliki (obecnie jest ich kilkadziesiąt sztuk różnego wieku).

O tym zwierzyńcu w ostatnich paru latach różne pisma nasze podawały szczegóły, zatem muszą one być znane mniej więcej — i dlatego nie rozszerzamy się o nich w niniejszym opisie. Tu jednak, na zasadzie częstych osobistych obserwacyj zaznaczamy, że usiłowania p. Bartelsa co do rozszerzania zamiłowania do hodowli w kraju użytecznych zwierząt, dotychczas osiągnęły ten rezultat, iż wyrobiły przekonanie o niezawodnej użyteczności urządzenia ogrodu zoologicznego. Nietylko w Warszawie, lecz w różnych stronach kraju, śród różnych stanów okazało się wielu amatorów, do zaprowadzenia hodowli użytecznych zwierząt, nawet z dalekich miejsc, z zachod. i połud. gubernii cesarstwa, zgłaszają się interesanci w celu poznania prowadzenia racyjonalnej hodowli, lub nabycia zwierząt rozpłodowych i jaj. Wszystko to skłoniło p. Bartelsa do podniesienia inicyjatywy założenia w Warszawie ogrodu zoologiczno-aklimatyzacyjnego i dla tej idei poświęcił on nie tylko wygody osobiste i cały czas, ale i fundusze jakie posiadał. Szerząc propagandę na korzyść urzeczywistnienia swej idei, kontentował się tem jedynie, gdy potrafił kogoś oświecić, przekonać o użyteczności chowu tego lub owego zwierzęcia, i sprzedać za możliwie niską cenę.

Usiłowania te niejednokrotnie wywoływały w prasie słowa uznania i zachęty, a tak ciągle acz powoli, jedynie (dla braku odpowiednich zasobów pieniężnych), rozwijając swą działalność, przy poparciu moralnem i pomocy materyjalnej ze strony osób miłujących dobro ogółu, p. Bartels zdołał wytrwać aż dotąd, kiedy jego zabiegi znalazły łaskawe uznanie Jaśnie Wiel. Jenerał-Gubernatora, Hrabiego Kotzrebue.

Uznając potrzebę publicznego ogrodu zoologicznego i oceniwszy różnostronne korzyści mogące stąd wyrodzić się dla ogółu, Jaśnie Wielmożny Jenerał-Gubernator dbały o rozwój interessów ekonomicznych i humanitarnych, udzielił panu Bartelsowi pozwolenie odwołania się w tej sprawie o współudział i pomoc do mieszkańców kraju, a przytem skłonił Zarząd miasta Warszawy, aby na urządzenie ogrodu wyznaczył odpowiednią część parku Aleksandryjskiego, przy Zjeździe położonego.

Na zasadzie tego, oraz dla nadania swym zamiarom najbardziej odpowiedniego kierunku, sposobem jawnego rozpoznania potrzeb i obmyślenia stosownych środków, p. Bartels zaprosił do przyjęcia udziału w swych pracach kilkanaście osób, które się oświadczyły z chęcią popierania jego idei, a tym sposobem zawiązał się w miesiącu Czerwcu 1874 r. tak zwany „Czasowy Komitet Opiekuńczy do urządzenia Warszawskiego Zwierzyńca.“ Wiadomo nam, że członkom tego komitetu, i na ich przedstawienie, JW. Naczelnik kraju dał upoważnienie do zbierania dobrowolnych ofiar w celu utrzymania, rozwinięcia i przekształcenia zakładu pana Bartelsa, na zakład użyteczności ogólnej, oraz do zaproszenia innych osób, aby współdziałały w urzeczywistnieniu tego celu, co miało miejsce w m. Lipcu r. z. jak przekonywa, nadesłana nam odezwa Komitetu z dnia 5 Lutego 1875 roku. Wszakże jak dotąd, wspomniony Komitet widocznie nie wiele przyczynił się do rozwoju samej sprawy na przyszłość, a co do przeszłości, można chyba to powiedzieć, iż usprawiedliwił przysłowie: „gdzie wiele nianiek, tam dziecko bywa bez oka.“ Czem się to dzieje, że u nas osoby, oświadczające się z dobremi chęciami i dobrowolnie przyjmujące różne obowiązki — same tylko objawy tych chęci, uważają za czyny, i stają się prawdziwą tamą w rozwoju rzeczywistej działalności? .... Rozwiązanie tego pytania, radzilibyśmy poddać pod rozbiór na najpierwszej sesyi „Komitetu Opiekuńczego“ aby nareszcie przestał działać po macoszemu i poczuł w sobie macierzyńskie obowiązki, do których się zobowiązał nie tylko względem samego p. B., ale już i względem całej społeczności naszej.

Pewni jesteśmy że tak będzie, a jest i możliwem, boć już wszelkie pierwsze zapory zostały przełamane. Komitet rozpoznawał już projekt ustawy, który został przedstawiony JW-mu Jenerał-Gubernatorowi, z prośbą o wyjednanie sankcyi Rządu, a zdaje się że taka rzecz nie będzie potrzebowała długiego czasu. Obecnie więc całą usilność skierować należy, aby zanim ustawa nadejdzie, pozyskać jaknajwiększą ilość osób chętnych dla sprawy i ofiar, które posłużą nie tylko do utrzymania dzisiejszego zawiązku lecz i na dalszy rozwój zwierzyńca. Ponieważ zaś Komitet, ani p. B., dotychczas nie objaśnili publiczności w jaki sposób i z jakim rezultatem korzystają z łaskawego pozwolenia JW. Jenerał-Gubernatora; zatem pragnąc upowszechnić sprawę „Warszawskiego Zwierzyńca,“ jako zaproszeni do współdziałania w celu urzeczywistnienia takowej, chcąc w miarę możności przyczynić się do należytego zrozumienia doniosłości takowego i zjednania mu przychylności publiki, podajemy główny zarys ustawy, a mianowicie:

W celu rozbudzenia zamiłowania do przyrodoznawstwa, jako też w celu ułatwienia hodowli i rozmnożenia w kraju zwierząt, ptaków, i ryb pożytecznych w gospodarstwach miejskich i wiejskich, oraz poszukiwanych przez amatorów, zawiązuje się Towarzystwo „Zwierzyńca Warszawskiego.“

Dla urzeczywistnienia swych celów, Towarzystwo, w miarę środków, zamierza:

a) urządzać i utrzymywać zakłady wzorowej hodowli różnych użytecznych zwierząt, szlachetniejszych gatunków, w celu aklimatyzacyi i upowszechnienia takowych;

b) utrzymywać coraz uzupełniający się zbiór rożnorodnych zwierząt krajowych, a w miarę możności i zagranicznych, z wystawieniem na widok publiczny w zagrodach, woljerach, klatkach, wiwaryjach, i akwaryjach i t. p., w celu obznajmienia publiki z przyrodą królestwa zwierzęcego:

c) sprzedawać zwierzęta, ptaki, ryby i t. p., tudzież jaja wylęgowe, wyhodowane i otrzymane we własnych zakładach, a to dla ułatwienia i uprzystępnienia hodowli i ustalenia handlu nimi;

d) pośredniczyć w kupnie i sprzedaży zwierząt pomiędzy mieszkańcami w kraju i za granicą—i sprowadzać lub wysyłać takowe według zamówień;

e) urządzać peryjodyczne wystawy publiczne zwierząt, nie tylko własnych, lecz i dostarczanych przez hodowców krajowych i obcych, z wyznaczeniem nagród w listach pochwalnych i pieniężnych, jako też z losowaniem celniejszych okazów;

f) wyznaczać konkursa i nagrody za najlepsze dzieła popularne o hodowli użytecznych zwierząt, oraz zbierać stopniowo biblijotekę dzieł specyjalnych, dla użytku członków towarzystwa i publiczności.

Dla zebrania zaś środków dla dopięcia powyższych zamiarów, towarzystwu mają przysługiwać prawa: a) przyjmowania ofiar, darowizn, zapisów i składek; b) pobieranie opłat: za bilety wejścia do zwierzyńca, za bilety na zwiedzanie peryjodycznych wystaw urządzanych przez towarzystwo, za bilety na prawo brania udziału w rozlosowaniu premijowanych zwierząt, ptaków i t. p., c) utrzymywania przy zwierzyńcu zakładu gastronomicznego i cukierni; d) urządzania odczytów, koncertów i innych widowisk; e) pobierania opłaty komisowego za pośrednictwo w kupnie i sprzedaży zwierząt.

Do towarzystwa mogą należeć osoby wszelkich stanów, obojga płci, bez ograniczenia ich liczby. Członkowie towarzystwa dzielą się: na założycieli, dających wpisowe po rubli 100, członków rzeczywistych z wpisowem po rs. 10 i składką roczną po rs. 6; członków honorowych którymi mogą być pojedyńcze osoby, lub towarzystwa, wybierane z powodu odznaczenia na polu działalności naukowej, lub skutkiem szczególnego przyczynienia się do rozwoju Zwierzyńca Warszawskiego; nakoniec na Protektorów towarzystwa, osoby którzy czynią dobrowolne ofiary pieniężne jednorazowe, lub

terminowe, jako też i ci którzy czynią inne darowizny, lub zapisy na korzyść zwierzyńca.

Dalsze szczegóły z ustawy pozostawiamy do czasu usankcyjonowania takowych przez Rząd, nadmieniając że wszystko obmyślono w jaknajlepszy sposób dla pomyślnego rozwoju instytucyi i możliwych korzyści jej członków i ogółu, a gdyby jakie nadspodziewane wypadki miały doprowadzić do rozwiązania się towarzystwa, projektowane jest przekazanie całego mienia jego i obowiązków na rzecz miasta Warszawy, lub gdyby w tym względzie nie mogła nastąpić umowa z Zarządem miejskim, to cały fundusz pozostały po spieniężeniu majątku i zaspokojeniu zobowiązań towarzystwa, ma być przeznaczony na stypendyja dla studentów Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu, którzy się specyjalnie poświęcą naukom przyrodzonym w kierunku jaki wskaże uchwała zebrania ogólnego stowarzyszonych.

Powyższy zarys głównych podstaw ustawy daje nam prawo rokowania o prawdziwej użyteczności tej instytucyi i pomyślnej przyszłości jej, co wszakże głównie zależy od ogólnego poparcia przez publiczność i ciągłe współczucie dla celów jakie towarzystwo to sobie zakłada.

Obecnie więc pozostaje nam wyrzeczenie słów gorącej zachęty do wszystkich obywateli kraju, aby przez zrozumienie wszystkich korzyści, które z założenia zakładu zoologiczno-aklimatyzacyjnego, mogą wypłynąć dla ogółu, i przez poczucie dobra powszechnego, nie odmówili swego poparcia i zechcieli okazać takowe swą ofiarnością, kogo stać na co wedle chęci i możności.

Otwierając zaś w Redakcyi „Opiekuna Domowego“ podpisy na dobrowolne ofiary dla Warszawskiego Zwierzyńca, nadmieniamy, że każdy ofiarodawca otrzyma na wniesioną kwotę kwit sznurowy z księgi oparagrafowanej przez Ober-Policmajstra, a nazwiska ich od czasu do szasu ogłaszać będziemy wszpaltach naszego pisma.

ŚWIETNE WIDOKI PANI MARCINOWÉJ.

OBRAZEK Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.

przez Felicyjana.

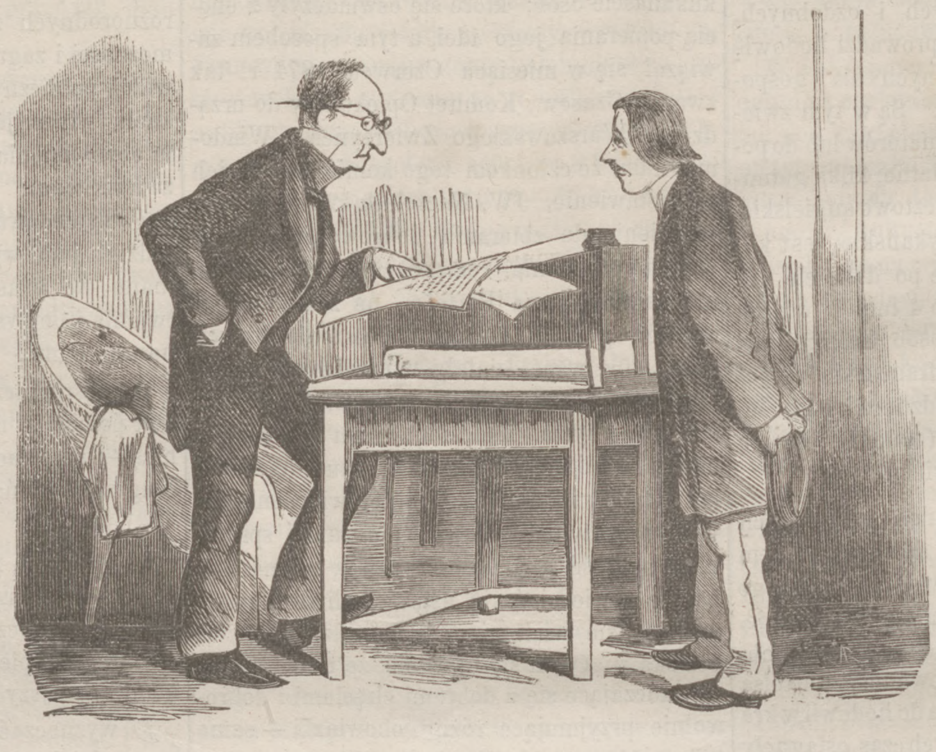
(ciąg dalszy)

— Jest więc w domu — powiedziała sobie stąpając po trzy schody naraz — a! chwałaż Bogu!

Tedy znalazłszy drzwi nie zamknięte, wbiegła nie bawiąc, i jak myślicie, co tam ujrzała zdumiona? Oto ni mniej ni więcej, tylko znamienitego męża w szlafroku — to nic jeszcze, ale i w czepku nocnym kobiecym, związanym pod brodą. Wprawdzie ujrzawszy ją, natychmiast go sobie z głowy zerwał i do kieszeni schował — niemniej przeto czas jakiś stał zawstydzony, nie wiedząc od czego zacząć rozmowę. Tymczasem, niby z pomocą mu śpiesząc, szpak ze snu wybity, strzepnął się w klatce, nos na prątkach sobie wytarł, i na całe gardło zawołał:

— Massa! znakomicie!—

— Cóż mi zjednywa tak niespodziane odwiedziny wasze pani siostro — rzekł wreszcie poważnie pan Jacenty porządkując rozpierzchłe na głowie włosy; — po naszem ostatniem widzeniu się, nie myślałem.... to jest nie sądziłem...



Mój panie, nakradł on w życiu swojem wiele rzeczy kosztowniejszych.

— Ach! mój Boże! już ja tam pana brata całem sercem za moję prędkość przepraszam— ale stało się wielkie nieszczęście.

— Jakież to nieszczęście?

— Niewłaściwie... harków drutować! wrzasnął szpak.

— Cicho tam do dyjabła! — zawołał pan Jacenty -- jakie nieszczęście?

Pani Marcinowa padła na stołek z załamanemi rękoma.

— Agatki nie ma!

— Co? umarła?

— Ale gdzie tam! tylko że do tej pory do domu nie wróciła.

— To cóż dziwnego? Massa jest przecię zabaw przeróżnych — a ludzie młodzi — to przecię wiadomo, że tego — zresztą od czegóż karnawał? Jakżeś mię też siostra przeraziła! Wcale to jest nawet niewłaściwie przyznam się — o podobnej godzinie — i tego. Ja sam oto znakomicie większe mam zmartwienie. Co to jest? przy mojem stanowisku, mieszkanie mi wśród karnawału wypowiedzieć! Nie mają prawa. Ja im tego roztego pozew jutro doręczę. Ale ja wiem — to ten gałgan Piskorski z Zapiecka przez złość żem mu kilka gołębi...

— Ale gdzieby oni tak długo siedzieli?

— Jacy oni? — rzekł kwaśno pan Jacenty, a! tamci. Czy ja wiem? Daj mi tam asani pokój. Albož to Agatka moja córka?

Pani Marcinowa uczuła całą słuszność tej uwagi i zamilkła. Tak trwało czas jakiś.

— Z resztą, przecież Edward z nią być musi — rzekł pan Jacenty.

— A dawno go brat widział? spytała pani Marcinowa.

— Kiedyż to? a! w poniedziałek był u mnie i pożyczył dwadzieścia pięć rubli. Dał słowo honoru że jutro przed dziesiątą jeszcze odniesie — to go tu pani siostra łatwo sobie znajdziesz. No, nie ma się co niepokoić. Oni tam już może oddawna są z powrotem.

Na tę tak słuszną uwagę, pani Marcinowa przypomniała sobie nagle: że ma klucz od mieszkania w kieszeni. Zaczem też, nie bawiąc już dłużej, pożegnała się z panem bratem i właśnie w chwili, kiedy szpak utrapiony w niebogłosy wrzasnął: — Stanowisko daj tabaki!— ona co tchu odeszła.

W domu zastała krzyk, wrzask, dzień sądny! Co tam znowu takiego? Oto Julka obudziła się ni stąd ni zowąd, i wydało jej się: że stoi przy niej coś białego. Ona okrutnie strachów się boi, a ten malarz (pokojowy) co to się kiedyś powiesił na parkanie przy ulicy Browarnej, to powiedali: że miał oczy na wierzchu i język wywieszony.

— Spij głupia i nie zawracaj mi głowy.

Agatki oto dotąd nie ma.

— To co a od czego pan Edward?

— I jego nie ma.

— To i dobrze. Jak raz są po zaręczynach...

— A tobie kto to powiedział?

— Samam widziała. Jak mię po piwo posłali — to ja nie głupia, nie poszłam, ino przez dziurkę patrzałam, i widziałam wszystko.

— Poczekaj ty kanalijo — dam ja ci kiedy ciekawość — obaczysz — aż ci w pięty pójdzie. A nie kołatał tu kto?

Właśnie mi się widzi: że mnie obudziło jakieś stukanie.

— Do dyjabła! pomyślała pani Marcinowa — trzeba, że właśnie przyszli kiedym ja niepotrzebnie na miasto latała. Wszystko to z tej prędkości. Głupstwo się zrobiło — nie ma gadania. Żeby zaś pannę tak po nocy z kawalerem puszczać! Ale przecie człowiek dobrze wychowany. Odprowadził ją pewnie do Magdusi ślicznie pięknie — bo i prawda — co się tu daremnie kłopotać?

Tak się sobie dobrodusznie upewniwszy, położyła się i zasnęła twardo. Niebawem przyśniło jej się: że Agatka zajechała karetą. Było to w lesie. Właśnie podbiegł kuzyn jej podleśny (słuszny, blondyn) żeby ją z uszanowaniem wysadzić, ale nie dał mu tego zrobić hrabia (sam hrabia — a jakże?), tylko ją wziął

pod rękę ślicznie pięknie, i zaczęli iść — ale w tem rewizor nieboszczyk zapuścił rogatkę. Agatka, nie wiele myśląc, dobyła z kieszeni dukata i rozśmiawszy się znikła jak gdyby się ziemia pod nią rozpadła, a tuż stał pan Jacenty kiwając głową, aż mu wszystkie włosy na kołnierz opadły, podczas kiedy wikary sam dzwonił — bo dziada nie było.

Ocknęła się, zimnym potem oblana — właśnie na prymaryję dzwoniono.

— W imię Ojca i Syna! — zmówiła pacierz za duszę nieboszczyka i zaczęła rozmyślać: co też ten sen może mieć za znaczenie? Zaraz by jej to wyjaśniła Migdalska, ale do niej, po całem owem zajściu z Jerzusiem, iść jej nie wypada. Chociaż Bogiem a prawdą, stara nic temu nie winna, jednak zawsze....

W każdym razie, chyba nie dobry to jakiś sen. Wprawdzie Agatka jechała karetą jak potrzeba, i to w dobranem towarzystwie — ale jakoś pana Edwarda nigdzie tam nie było.

Ubrawszy się, pobiegła zaraz na górę. Zamknięte jak i wczoraj. Zaczął ją niepokój ogarniać.

Umyśliła pójść na nowe mieszkanie — no niezawodnie tam być musi — przecież pod ziemię się nie schował.

Ale i tam nie zastała nikogo. Ruszała klamką, dzwoniła, wszystko było napróżno. W korytarzu stróż zamiatał.

— A do kogo to? — spytał.

— Ja chciałam tylko wiedzieć czy jest w domu pan Edward Mennicki.

— Wedle Mennicy? To nie tu. To trzeba bez Tłumackie, kole stu-dni okrągłej —

— Ale ja się o tego pytam pana co tu mieszka.

— W rogu Leśna? Gdzie tu Mennica— a gdzie tu Leśno! to dopiruj dziwna kobita! Taże mówię, że to nie tu...

Pokazało się, że był głuchy. Niebawem zastąpiła go żona, pytając: o co chodzi?

— Czy był tu dziś pan Mennicki?

— Tu w całym domu żadnego takiego nie ma.

— Ale jakże —

— Kiedy ja powiedam —

— Proszę pani — tocże w *tym* apartamencie co na pierwszem piętrze.

— No juści. Mięszkanie do najęcia z meblamy każdego czasu.

— To też on je najął.

— A dał zadatek?

— Juści musiał dać, kiedy mięszka.

— Tam nicht nie mięszka — to dopiruj! Klucz jest u mnie. Oglądali różni — przyjeżdżali i karetamy i panie w woalkach. Sto i pięć rubli na miesiąc — a jak z *porcynelą* i ze *śrybłem*...

— Moja pani, przecież ja sama byłam w tem mieszkaniu —

Stróżowa bardzo się zaperzyła.

— Cóż mi to asani gadasz: moja pani —

— Asani albo nie asani — bardzo proszę —

— Patrzcie ją! Tu nie takie ludzie przychodzili i dobrze było. Jaka mi! Zamawia się ino — przepatruje kąty —

Pani Marcinowa śpiesznie odeszła, przejęta zgrozą i razem dziwnie zaniepokojona.

— Edwarda nigdzie nie ma — cóż to znaczy? A nuż on istotnie... Bała się nawet dokończyć swojej myśli....

Prosto stamtąd do Magdusi pobiegła — ale i tej już w domu nie było.

— Wyszła na miasto robotę odnieść — tak ją objaśniła stara jakaś sąsiadka.

— A nie nocował tu kto u niej dzisiaj?

Tamta spojrzała na nią oburzona.

— U panny Magdaleny żeby kto zaś nocował! U panny? Proszę ja pani —

— Bo ja myślałam: że moja córka.

— A! córka! to co innego. Jakże godność, jeśli wolno wiedzieć?

— I owszem. Kordula Flaczyńska.

— A! czy nie żona przypadkiem tego co to miał sklepik z pierścionkami pod kościołem Panny Maryi?

Z kolei pani Marcinowa spójrzała na nią oburzona.

— Bardzo porządny człowiek — rzekła tamta — tylko że się nawet nazywał Flakiewicz, więc to nie ten. Więc to pani nie jego żona, więc tedy córka — więc tego — no proszę —

Pani Marcinowa nie czekała dłużej.

— Ha! to już chyba Agatka u Migdalskich noc przebyła. Choć znowu, gdzieżby ją tam Edward zaprowadził, po tem co zaszło! Ale jak się ona sama uparła, o niczem nie wiedząc? bo może gdzie blisko byli. Ostatnia to już deska ocalenia. Nie ma rzeczy — trzeba tam będzie pójść — choć nie bardzo to przyjemnie — ba nawet bardzo przykro. Ten Jerzy przeklęty, taki grubijan, tyle rzeczy na nią nawygadywał i na wszystkie jej kolligacyje;— ale trudno — ona mu to wspaniale przebacza, i za to będzie miała sto dni odpustu. Dla dziecka swego ukochanego czegóż się nie zrobi? Zresztą, Jerzego może w domu nie będzie — ona na górę pośle spytać się i po wszystkiemu.

Dalej, dla zagadania w sobie owego kłopotu, poczęła myśleć z gniewem o głupiej sąsiadce Magdusi.

— Sklepik z pierścionkami — patrzcie ją! ani wie z kim gada. No proszę — co to jest jednak nieprzymierzając naderwanych ludzi po świecie!

Aliści, pierścionki owe, przywiodły jej znagła na pamięć zaręczyny Agatki.

— Czy nie zaprędko się to wszystko zrobiło? Ale przecież Agatka sama tego chciała, czyż ona temu co winna?

W tych myślach przykrych, nie mało pomięszana, doszła wreszcie do magazynu obuwia pod niedźwiedzią łapą. Do dyjabła — Jerzuś jak na złość będący wtedy na dole, natychmiast ujrzał ją przez szyby — nie było się co wahać dłużej.

— Dzień dobry, panie Migdalski — rzekła uprzejmie, drzwi otwierając — czy jest tu moja Agatka?

— Panna Agata? skądżeby! —

— Jakto? i nie nocowała u państwa?

Mówiąc to, czuła jak się nogi pod nią zachwiały.

Jerzuś zbladł i zatrząsł się jak w febrze.

— Co pani mówi! Panna Agata..

Pani Marcinowa padła na krzesło, załamując ręce.

— Boże przedwieczny! to dopiruj nieszczęście!

Nastąpiły wyjaśnienia.

— A gdzież jest w tem wszystkiem pan Edward?

Pani Marcinowa poczęła z goryczą wyrzekać na swoje opuszczenie.

— Wszyscy jej tylko tym Edwardem oczy kłują. Ale przecież dobrze Panu Bogu wiadomo i Matce Najświętszej: że Agatka sama za niego iść chciała. Zresztą, człowiek jest zupełnie dobrze wychowany — ale jak kto takiego za drzwi wypycha...

— Któż mu to zrobił?

— Jakże? przecież pan sam, panie Jerzy.

Jerzuś osłupiał. On nawet w owej chwili pamiętnej, kiedy mu pięść pani Marcinowej niemal już nosa dotykała, samego siebie próżno za drzwi wypchnąć probował — nie dopiero kogo drugiego — on taki nieśmiały!..

Wszystkiego okazało się w tem prawdy tyle, że po owem zajściu z panem Jacentym, pan Edward przyszedł do magazynu (Jerzusia w domu wtedy nie było) i wybrał sobie najbardziej eleganckich ciżemek trzy pary za rubli ośmnaście, i dwie mniej eleganckie za dziewięć — Magdusia zaś, która z nim razem przyszła, zaręczyła: że niezwłocznie zapłaci — co się jednak aż dotąd nie zjściło. Wszystko to w poniedziałek miało miejsce — dzień jak wiadomo feralny, a jak tą razą najferalniejszy ze wszystkich znanych po świecie szerokim.

Nie ma rady. Trzeba się na policyję udać. Nic innego, tylko ten Edward porwał pannę Agatę. Na to tak zuchwałe posądzenie, pani Marcinowa już zamierzała gniewem wybuchnąć a następnie silnie za sobą drzwiami trzasnąć, kiedy w tem nadbiegła zdyszana Magdusia.

W sklepiku pod Bocianem, dowiedziała się o całem nieszczęściu.

Ten Edward, bez żadnego wątpienia jest najniegodziwszy człowiek pod słońcem. Jakże? toż on nadużył nawet jej ufności, gdyż nietylko dał jej słowo honoru że zapłaci za buty, ale jeszcze potem i drugie: że już zapłacił, — a co ważniejsza, we wtorek jeszcze, kiedy to był taki smutny, to na pożegnanie pożyczył od niej krwawo uzbierane dziesięć rubli (za co ją nawet pocałował — ale o tem przemilczała) — i teraz oto gdzieś się zapodział z temi rublami i także z Agatką. Boże to on nie kto inny, porwał Agatkę — to już o tem wszyscy mówią na mieście — w szczególności zaś Pietrzycka, która nawet twierdzi: że dawno to przepowiadała.

Tu pani Marcinowa aż zbladła z impetu.

— Pietrzycka! zawołała — Pietrzycka niech pilnuje swojego szydła — czy tam chcę mówić dratwy—czy (bodajcie!) brzytwy — bo jak nie, to ja jej powiem na samym środku rynku... ale nie mogła dokończyć reszty i wybuchnęła wielkim płaczem, — a tak nikt się nie dowiedział: co to takiego, w miejscu tyle publicznem, strapiona ta niewiasta do wypowiedzenia miała.

ROZDZIAŁ XVIII.

Pięta Achillesowa.

Tymczasem Jerzuś co tchu pośpieszył na policyją — Magdusia zaś i Migdalska podjęły się odprowadzić panią Marcinowę do domu. W drodze miały jeszcze złudzenie: że może Agatkę zastaną już z powrotem. Czy ją zastały? zaraz obaczymy — tymczasem pójdźmy na chwilę z Jerzusiem.

Ten idąc, krwawe sobie robił wyrzuty:

— Wszystkiemu temu on sam jest winien, trzeba się było zdobyć na odwagę — ostrzedz wcześnie. Ale to już taka jego dola — wiecznie się tylko potykać, nabijać sobie guzy i pocierać czoło. I także zapóźno przychodzić. Gdyby się był pośpieszył — to kto wie? możeby panna Agata, choć ona taka królowa.... On by z przed niej proch zdmuchiwał... Ale gdzie tam! Ona nigdy o niego nie dbała — jakże się miał ośmielić?

Na płacz mu się zbierało. I myślał sobie:

— Co to jest: mieć szczęście, albo nie mieć szczęścia. On jakoś nie ma szczęścia. Była jedna taka co mu się podobała nad wszystkie, trzeba że była nadzwyczajnie piękna, a on nie pozorny i śmieszny — jak tu się było odważyć? — Taki kawał drogi pomiędzy niemi! Ona by ku niemu schodzić musiała — a nie chciała; on by ku niej w górę się piąć — a nie śmiał. I więcej już nie ma takich na świecie, on został sam jeden. Żeby choć wiedzieć na pewno: że ona szczęśliwa! Ale co tu i gadać. Taki rozpustnik jak ten Edward, zmarnuje w jedną chwilę to, co by drugiemu wystarczyło na całe życie. I wszyscy ile ich było, sami ją popychali w tę przepaść zguby — on jeden tylko czyste ma sumienie — ale cóż z tego? Zarówno winien ten co zabił, jak i ten co nie ratował. — Bądź jak bądź, nie ma jej — a z nią i tego wszystkiego, co mu tak długo, w rajski niby ogród jakiś, pracowite a ciche zamieniało życie...

Tak dumał smutno ten człowiek, zarówno nie wiedzący: że sam jeden ze wszystkich godzien był współczucia, jak i tego: że mu się węzeł od krawaty aż na kark przekręcił.

Ale oto stanął wreszcie w upragnionem biórze.

— Czego pan sobie życzy? spytał go urzędnik.

— Pan Edward Mennicki — rzekł Jerzuś bardzo pomięszany.

Urzędnik począł przerzucać grubą jakąś księgę.

— Mennicki. On się nazywał wprzódy Sliwkowskim — a wprzódy jeszcze Foglerem...

— Nie wiem tego — rzekł Jerzuś.

— A wprzódy jeszcze Pędzlewiczem...

— Być może.

— I tak dalej — ciągnął swoje urzędnik. Miał on już coś — zaraz — jedno, dwa, trzy — siedm nazwisk rozmaitych. Blondyn, grubawy, bardzo wygadany...

— Ten sam.

— Znamy go dobrze... To cóż on panu zrobił ten Mennicki?

— Pannę wykradł.

Urzędnik poprawił okularów.

— Tylko tyle?

— Jakto: tylko tyle?

— Mój panie, nakradł on w życiu swojem wiele rzeczy kosztowniejszych.

— Proszę pana — rzekł Jerzuś z oburzeniem.

— Spokojnie pomówmy. Czy panna się broniła, wołała pomocy?

Jerzuś milczał zawstydzony.

— To może jej w domu bardzo źle było?

I na to nie miał odpowiedzi.

— No to sam pan przecie widzisz, że nie była tak bardzo kosztowna.

Ale ona — ona była — to jest, jednem słowem — ona była jedyną pociechą — całej rodziny chcę mówić — prawił Jerzuś z uniesieniem, stopniowo nabierając śmiałości. — Proszę pana, jednak to tak być nie może. Tu trzeba koniecznie rozesłać, gonić, chwytać. Jakże? czyż podobna pozwolić: ażeby jeden złoczyńca bezkarnie mógł napadać dom uczciwy?

— Więc był napad? A niceś mi pan o tem nie mówił. Napad zbrojny? czy też choćby bez broni, ale w kilka osób z postrachem i groźbą?

Jerzuś znowu umilkł zawstydzony.

— To przynajmniej tego Mennickiego w domu sobie nie życzono, i tylko jedna panna mu sprzyjała. Czy tak chociaż było?

Jerzuś i na to odpowiedzi nie znalazł.

— Za pozwoleniem pańskiem — ciągnął dalej urzędnik, z wielką flegmą biorąc szczyptę tabaki — czy to pan brat tej panny, ojciec, krewny, narzeczony?

— Cóż to ma do tego?

— Bo widzi pan — trochę my za gorąco rzecz tę bierzemy. Ale zastanówmy się nad nią poważniej. Przed chwilą powiedziałeś mi pan: że tu chodzi o jedynaczkę — więc o osobę nad wszystko ukochaną — więc o taką, której na niczem nigdy nie zbywało, i której strzeżono jak oka w głowie. Dalej, nazwałeś ją pan pociechą — to znaczy: że godna była tego, żeby się nią cieszyć — to jest: że przywiązaniem płaciła za przywiązanie — słowem: że dom rodzicielski był dla niej rajem, który ona sobą ozdabiała. — A teraz odwróćmy rzecz do góry podszewką, ta zaraz na jaw wyjdą niewytłumaczone sprzeczności. Panna poprostu uciekła. To znaczy znagła: że albo była źle pilnowana, albo że jest nie wdzięczna. W obu tych razah, czyż tu co będzie do naprawienia? W pierwszym — przypuściwszy że ją napowrót odbierzem — to pytam pana: czy jej to wróci cześć utraconą; w drugim zaś: cóż ona warta, jeśli sama w domu być nie chciała? Ma już swój rozum — nauczyła się woli swej dogadzać — jeśli znów zechce na swojem postawić — któż ją nadal ustrzeże? Żądasz pan kary na uwodziciela. A jak się też pokaże: że oboje zarówno na karę zasługują? O panie pierwszy raz w życiu słyszę — ale co do tego ptaszka, to znamy go nie od dzisiaj. Serdeczny przyjaciel i totumfacki każdego otracającego się panicza, w potrzebie szuler jarmarczny, oszust, złodziej przy sposobności; — jeśli i tą razą co ukradł, to my już o nim i bez pana wiemy — i znowu do *ula* pójdzie, jak już nieraz było. Ale takiego kto kto do do domu porządnego w puszcza? d. c. n.

WYCHOWANIE LUDU.

PRZEZ

Emila Laveley'a

przełożył

Ludwik Szteinbok.

(Ciąg dalszy)

ROZDZIAŁ IV.

Szkoły świeckie.

Zachodzi teraz pytanie czy nauka moralności w szkole powinna być oddzieloną od nauki religii, czy nie? W organizacyi naukowej nie ma nad tę ważniejszej kwestyi. Rozprawiają o niej wszędzie, zarówno w krajach katolickich jak i protestanckich i wszędzie porusza ona głęboko dusze, bo dotyka najważniejszego jej interesu, jej najserdeczniejszego uczucia, to jest religii.

Szkoła do której przyjmowane są wszystkie dzieci bez różnicy wyznań, gdzie uczą moralności nie dotykając dogmatów, to jest szkoła mieszana albo świecka, jestto instytucyja niesięgająca dalej jak początku teraźniejszego wieku, wprowadzona najprzód w Hollandyi, stopniowo była przyjmowaną w Stanach Zjednoczonych, Irlandyi, Wyższej kanadzie i Australii, a upominają się o nią w wielu jeszcze krajach stałego lądu, jak we Francyi, Niemczech, Belgii, Szwajcaryi i we Włoszech. Dzięki takim szkołom Ameryka zdołała zorganizować znakomity system nauczania ludowego, będącego jej siłą i dumą. Bez tego systemu Anglija, mimo wielkich ofiar i usilnych starań, nie może tak łatwo rozprzestrzeniać nauki w niższych warstwach narodu.

Wymowny historyk Stanów zjednoczonych P. Bancroft, w jednem ze swoich pism powiedział, że szkoły świeckie albo bezwyznaniowe, (unsectarian) są najważniejszą zdobyczą dzisiejszych czasów. Ze zdaniem tem zgadzają się wszyscy reformatorowie angielscy od Cobdona i Stuarta Milla do hr. Russel.

Rozważymy najprzód kwestyją tę samę w sobie, badając argumenty jakich trzymają się zwolennicy i przeciwnicy szkoły świeckiej; następnie pokażemy, jak ta kwestyja rozwiązaną była w Hollandyi i Stanach Zjednoczonych, gdzie rozwiązanie to, najwięcej było uzasadnione.

Wszyscy, czy to katolicy, czy protestanci, wymagający aby religija objawiona, wchodziła w zakres nauk początkowych, uwzględniają jednakowe w tem pobudki. Twierdzenia ich mogą być przedstawione w następujących wyrażeniach. Pożyczając słowa od p. Guizot, potrzeba, mówią oni, aby „atmosfera szkoły była religijną,“ religija tylko może natchnąć lud uczuciami szacunku, porządku i cnoty. Zniszczenie lub osłabienie przekonania religijne, a najliczniejsze klasy, rządząc się tylko swemi namiętnościami, doprowadzą społeczeństwo do upadku. Wiara biednego jest strażniczką majątku bogatego.

Gdyby się nie spodziewał ten który nic nie ma, wynagrodzenia za to w przyszłem życiu, chciałby posiadać i używać na tej ziemi, i to właśnie jest źródłem najniebezpieczniejszych

rewolucyi społecznych. Otóż aby wlać w serce ludu moralność i religiję, trzeba tego uczyć w szkołach. Napróżno mówią o rozdzieleniu moralności od religii, bez religii moralność nie ma żadnej podstawy, ona jest niczem, a przez religiją trzeba rozumieć wiarę pewną, określoną, dogmatyczną.

Religija naturalna, ten deizm nieoznaczony, zimny, abstrakcyjny, bez tradycyi, bez symbolów, bez ceremonij, bez ołtarzów i księży, może dać pożywienie spostrzeżeniom filozofów w ich gabinecie, lecz nigdy nie dostarczy pokarmu duchowego dla słabych umysłów ludzi, spędzających życie w polu i przy warsztatach.

Pozostaje więc do wyboru: albo będziecie uczyli w szkole dogmatów wiary i użyjecie do tego księdza, i tym sposobem, zadość czyniąc prawdziwym potrzebom ludowym, wzmocnicie porządek społeczny; albo oddalicie księdza ze szkoły, a wówczas przez waszę naukę bez religii, bez moralności, rzucicie w serca nasiona niedowiarstwa, ateizmu, niemoralności, buntu i wprowadzicie do nowoczesnego społeczeństwa nieuleczone rozprzężenie.

W krajach katolickich duchowieństwo w imię bardziej jeszcze nieugiętych zasad, z wielkiem naleganiem domaga się najwyższego kierunku w nauce ludowej.

Najważniejszym przedmiotem wychowania mówi ono, jest rozpowszechnianie nauki i moralności. Wychowanie prawdę mówiąc, nie ma innego zadania, jak przysposobić ludzi do wypełniania obowiązków względem Boga, względem bliźnich i siebie samego. Kto więc tego nauczy? Czy przedstawiciele powagi świeckiej, czy filozofia?

Lecz cóż-to jest ta filozofia, jeżeli nie zbiór wszystkich błędów ludzkich, lub niemożliwe odszukiwanie prawdy uciekającej i kryjącej się zawsze? Co się zaś tyczy władzy świeckiej, wypływ umysłu ludzkiego w wysokim stopniu słabego, jakże mogłaby ona uczyć dogmatów, kiedy sama uważa się niekompetentną w tej kwestyi?

Sam tylko kościół jest w stanie dać ludowi wychowanie religijne, którego on potrzebuje, kościół jedynie jest depozytaryjuszem słowa Boskiego, on tylko obdarzony jest nieomylnością obiecaną mu przez Syna Bożego, który mu powiedział „Idź i nauczaj wszystek lud na ziemi.“ Oto tytuł do jego misyi cywilizacyjnej, którą od 18 wieków spełnia.

Prawie we wszystkich konkordatach jakie miały miejsce, Papieże wymagali aby zwierzchni kierunek nauki był w ręku duchowieństwa. Ostatni konkordat miedzy Piusem IX a Austryją zawierał: Art. 5. Wychowanie całej młodzieży we wszystkich szkołach, tak prywatnych jak i publicznych, oparte będzie na zasadach religii katolickiej. Biskupi według swoich obowiązków pasterskich, będą kierowali edukacyją religijną młodzieży, we wszystkich zakładach wychowania publicznego lub prywatnego... Art. 8. Wszyscy nauczyciele szkół początkowych katolickich, będą podlegali inspekcyi duchownej, którby się chciał uchylić od tego, będzie usunięty. To jest właśnie zdanie kościoła, i wszystkie kraje które poddały się powadze Rzymu, dotychczas pozostawiły duchowieństwu naukę religii i moralności.

Zobaczmy teraz w imię jakiej zasady i dla jakiego powodu domagają się zamiany szkoły na świecką.

Inne pobudki skłaniają pewne narody protestanckie domagania się wykluczenia ze szkoły nauki dogmatów, inne zaś narody protestanckie nie z niechęci do jakiego wyznania przyjęły wychowanie świeckie, lecz z konieczności spowodowanej różnością sekt. W krajach zaś katolickich walka tą kwestyją wywołana, jest raczej symptomatem przesilenia religijnego. Zajmiemy się przedewszystkiem pierwszemi.

U narodów które przyjęły reformę, liczba sekt rozmaitych jest już wielką i każdodziennie powiększa się. Bossuet, który nie pojmował innej jedności jak tylko opartą na posłuszeństwie, sądził że zawstydzi i poniży zwolenników religii chcącej uchodzić za reformowaną, przedstawiając odcienia i rozdwojenia kościołów protestanckich. Cóżby on powiedział, zobaczywszy dziś tyle różnorodnych sekt w Ameryce, których liczbę powiększa z każdą chwilą istniejąca tam nieograniczona wolność. Nieuchronne to następstwo wyzwolenia się umysłu ludzkiego względem religii.

Wistocie prawda jest jedną, różne są jednak sposoby jej pojmowania, przedstawiania i przyswajania. Co się zaś tyczy wiary, ileż odcieni może zrodzić rozmaitość pojęć, temperamentów i stopni wykształcenia; to co buduje jednych, zgorszeniem jest dla drugich. Jedni sądzą, że trzeba Boga chwalić z akompanijamentem muzyki i śpiewu, drudzy zaś, że jedynie wewnętrzna i cicha modlitwa, godną jest Boga. Jedni chrzczą już dzieci, drudzy radzą przystępować do tego sakramentu ze znajomością jego znaczenia.

Te różne odcienia, które się rysują na wspólnem tle wyznań chrześcijańskich, dowodzą tylko tego, iż przywiązujemy dość wagi do rezultatów wynikłych z swobodnej pracy myśli i sumienia, aby zerwać z rutyną. Rozmaitość wyznań, dowodzi także pewnej żywości uczuć religijnych.

Nacisk tylko, prześladowanie, albo znów zupełna obojętność, mogą utrzymać zgodność przekonań.

W miarę kiedy uczucia religijne przyjmują więcej osobisty charakter, różnowierstwo nie powinno ani zadziwiać, ani przestraszać, należy tylko przy organizacyi szkoły, zwracać uwagę na te uczucia.

Nie będzie można powierzać nauki religii osobie świeckiej, jako należącej do pewnej sekty, i jej zapatrywania się nie będą mogły być przyjętemi przez wyznawców innej sekty. Nie będzie też można poddać szkołę nadzorowi i kierunkowi duchowieństwa, trudnoby bowiem było przywołać kapłanów wszystkich wyznań, przypuszczając zaś jednego, obrażałoby się prawa wszystkich innych, wypada więc koniecznie wykluczyć naukę dogmatów ze szkoły i takową zamienić na świecką.

Zresztą do przyjęcia tej zasady, prowadzi nas poznanie istoty Państwa. Państwo to instytucyja polityczna nie religijna *), oparte na ogólnych zasadach moralności, mając za cel wzmacniać panowanie sprawiedliwości, nie powinno sprzyjać jednemu wyznaniu ze szkodą drugiego. Szkoła ustanowiona przez stan świecki, również świecką być powinna.

Wszyscy obywatele groszem swoim przykładają się w pewnej części do utrzymywania szkoły, powinna więc ona otwartą być dla wszystkich, bez różnicy wyznań, co nie mogłoby mieć miejsca, gdyby podlegała zarządowi wyznawców jednego lub drugiego wyznania.

Dla tego że nieuczono w szkole dogmatów, chciano zadecydować, że szkoła była niereligijną, lecz niesłusznie, bo jak mówią w Ameryce ona jest unsectarian, nie zaś godless, nie należy wyłącznie do żadnej sekty, lecz to nie znaczy, żeby miała być ateuszowską.

Nauka jaką dziecko w szkole odbiera nie ma na celu, aby go ostatecznie przyciągnąć do pewnego wyznania, lecz przygotowywa do zrozumienia zasad swojej religii. To samo i w polityce nie ma potrzeby wpajać w obywateli zasad jednego lub drugiego stronnictwa, trzeba ich tylko uzdolnić do sformowania opinij opartych na sprawiedliwości i pożytku ojczyzny.

Jeżeliby w zakładzie do którego dziecko przez rok uczęszcza, nie uczono religii, możnaby nad tą stratą ubolewać, lecz że dzieci zaledwie przez kilka godzin dziennie przesiadują w szkole, mogą się uczyć religii w domu, w kościele, a nawet i w szkole od księdza po za godzinami szkolnemi.

Czyż religija nie będzie stanowiła części wychowania młodzieży dlatego, że zamiast przez świeckiego, wykładaną będzie przez księdza, i czyż ten ostatni do nauczania jej nie będzie zdolniejszy od nauczyciela świeckiego.

Zadanie księży wszystkich wyznań opiera się na nauczaniu dogmatów. Obciążać nauczyciela tą nauką, jestto wkraczać w zakres działalności przynależnej księżom, i pozwalać przedstawicielom różnych religii, nie wypełniać jednego z ich obowiązków.

Czyż nie możnaby w tym przypadku zastosować słów Ewangelii i sądzić drzewo po jego owocach? Otóż czy uczucia moralności i religii mniej są rozpowszechnione i mniej głębokie w krajach, gdzie są szkoły świeckie, jak u narodów które zachowały szkoły wyznaniowe? Zupełnie jest przeciwnie.

Stany Zjednoczone Wyższa kanada i Hollandyja, są to kraje w których więcej może jak we wszystkich innych religija silnie w korzeniona w dusze, wywiera jak najwięcej moralny wpływ na życie krajowców. Porównajcie je pod tym względem z Hiszpaniją i b. Państwem Kościelnem, gdzie nauka początkowa całkowicie jest w ręku duchowieństwa i przypatrzcie się po której stronie są korzyści.

---

*) Ta strona zadania traktowaną była w oryginalny i głęboki sposób w jednem ze studyjów, zawartem w tomie pod tytułem: La revolution philosophique au XIX siecle przez p. F. Huet, dzieło pośmiertne znakomitego umysłu zbyt wcześnie wyrwanego naukom społecznym.

W Anglii usiłowano rozwiązać kwestyją, przez udzielanie subsydiów wszystkiem szkołom wyznaniowym, które się poddają dozorowi, lecz rezultaty nie są zadawalające i ogólnie domagają się tam reformy. W Australii przyjęto podobny system, lecz i tu otrzymano szkoły z tak małą liczbą uczniów, że nie można było urządzić je należycie, i trzeba było otworzyć szkoły mięszane, tak jak w Irlandyi i Ameryce.

Jednem słowem, u narodów protestanckich rozmaitość sekt prowadzi do urządzania szkół świeckich i dotychczas nie pozostaje jak powinszować rezultatów. Dzięki tej reformie, władze publiczne mogły dla wszystkich organizować nauczanie wspólne, bez różnicy wyznań, i reforma ta, rozlewając na wszystkich światło nauki, sprzyjała postępowi, tolerancyi wyznań i zdrowej moralności.

d. n.

GAWĘDY

o środkach domowych lekarskich i gospodarskich.

A więc ziściły się twoje gorące życzenia? Znalazłaś miejsce nauczycielki w odległych stronach od hałaśliwej Warszawy. *Ustronie* twoje należy do młodej rodziny K,—leży w krakowskiem, w okolicy pięknej, ale dość odosobnionej; najbliższe bowiem sąsiedztwo zaledwie o milę— a do miasteczka dwie blisko,—bardzo złej drogi. ,, Wielka to wieś to *Ustronie* powiadasz, prócz tego kilka folwarków do niej należy. Państwo K. są ci dobrze znani, ona była na jednej z tobą pensyi—tylko w wyższej klasie, starsza też jest lat kilka — i od lat 8-miu zamężna. Ma córeczkę 7-o letnią i dwoje młodszych dziecinek. W tobie pragnie mieć przyjaciółkę, pomocnicę, towarzyszkę i wspólniczkę prac wszelkich. Obok bowiem pomocy w uczeniu i prowadzeniu dzieci, podług wspólnie z jej mężem układanego planu, pani K. pragnie mieć przy sobie osobę, co by wraz z nią czuła, pojmowała, pragnęła i myślała o dobru jej małego państwa, jej rodziny, domowników i włościan. Ucieszona takiem wezwaniem, radabyś odpowiedzieć mu z sumiennością. Obok więc zasobu książek pomocniczych, żądasz odemnie rad, wskazówek, przepisów—słowem wszystkiego—naco moje doświadczenie zdobyć się może; bo ziarnko do ziarnka—a zbierze się miarka powiadasz a żywe słowo więcej nieraz znaczy, niż wypisane z książek uwagi.

Dobrze więc, będę się z tobą dzieliła całą moją umiejętnością na jaką tylko dwudziestokilkoletnie doświadczenie gospodarskie, rodzinne, zdobyć mi się pozwoli. A że zimowe mroźne i wilgotne naprzemian powietrze ze wszech stron przysyła do uszu moich: to różnogatunkowego kaszlu, to zachrypłego i piskliwego głosu rażące oddźwięki, posyłam ci więc cały szereg przepisów domowych na katary, kaszle, bóle gardła, sapki, chrypki i t. p.

Zacznijmy od najmniejszego biedactwa, które tak łatwo tym wszystkim podlega cierpieniom.

Otóż zbyteczne okrywanie na buzię, nieoględne zachowywanie się przy kąpieli, zbliżenie się osób świeżo z mrozu lub zimnego powietrza przybyłych, używanie pieluszek raz zmoczonych i bez wypłukania ich w wodzie suszonych, w sypialnym zwłaszcza pokoju, i poraz drugi pod dziecinę podkładanych; nie równa lub zbyt gorąca temperatura, że nie powiem już zbyteczne zimno lub cugi, które groźniejsze pociągają za sobą skutki, wszystko to sprowadza katary wogóle, a tak zwane sapki u maleńkich szczególniej dzieci. Dla ułatwienia ciężkiego oddychania, smaruje się czołko nad chrząstką nosową ciepłą oliwą, olejkiem migdałowym, łojem kozłowym lub wreszcie zwyczajnym ze świecy w ostateczności; prócz tego smaruje się zwierzchnia część noska na samym środku wkoło aż do policzków temiż samemi tłustościami, które i dla starszych służą z pożytkiem. W nosek dzieciny należy wstrzykać nieco pokarmu, by spowodować kichanie, przy którem ustępują częstokroć nagromadzone zawady, swobodniejszy oddech tamujące, lub też zwilżoną ciepłą gąbeczką zawady te wydobyć należy. Prócz tego—daje się dziecinie ulepek ślazowy, cebulowy—a w razach gwałtowniejszych hipekakuanowy. Niektórzy dają „winko emetykowe" lecz to już starszym dzieciom i to po parę kropel do łyżki rumianku, a nawet do szklanki całej dość wpuścić 3 do 5 kropli i dawać pić potrosze dla rozrzedzenia flegmy. Niekiedy i w taki sposób dawane te krople, sprawiają wymioty flegmiste, co ulgę sprawia. Zawsze jednak z emetykowemi środkami ostrożną być trzeba, bo one sprawiają uderzenia do głowy; jeźli więc główka pała a dziecina jest śpiąca wtedy emetykowych żadnych środków, bez rady lekarza używać nie należy. Niewinnem lekarstwem jest syrop burakowy, przez bardzo doświadczoną matkę mi zalecony i używany. Bierze się burak ćwikłowy, trze na tarce, przecedza przez płótno, poczem włożywszy sporo cukru, gotuje się na spirytusie ulepek zwykłej gęstości który małą łyżeczką co kwandrans jedną, aż do skutku, daje się małej dziecinie. Dobrze jest też do ciepłego rumianku wpuścić parę kropel kozłowego łoju, co także rozrzedza flegmę. Ślaz za napój, siemie lniane sparzone i po chwili przecedzone, byle nie było gęste, ocukrzone, kaszel łagodzi; a nawet zimną wodą nalane i pozostawione tak przez dzień w karafce dosyć daje klejkowatości i dobre jest z cukrem zwłaszcza lodowatym za napój. Ulepek cebulowy tak się w domu przyrządza: Cebula duża obrana z żółtej skórki piecze się; gdy będzie miękka, rozgniata się łyżeczką w samym środku i w to miejsce sypie się trzy, cztery lub więcej łyżeczek cukru miałkiego, stosownie do wielkości cebuli, którą stawia się powtórnie do pieca na miseczce lub w maleńkim rądelku byle czystym —i praży się, póki się cukier zagotuje. Następnie wyjąwszy z pieca przeciska się przez muślin. Sok ten powinien być czysty i gęsty jak ulepek. To dawać dziecku potrosze w pewnych przestankach—a flegma rozrzedzać się i kaszel zmniejszać się będzie. Kaszel u dzieci bywa rozmaity—to jest z różnych przyczyn pochodzący, matka troskliwa i zastanawiająca się z czasem sama gatunki jego rozróżnicę i stosownych środków domowych użyje, jakiemi są jeszcze między innemi: łój na bibule na piersiczkach na czas dłuższy położony, lub skórka z młodej słoniny w kształcie napierstniczka synopizma z gorczycy w wielkości 2-u złotówki, 5-io złp. lub większe, stosownie do wieku dziecięcia, które trzymają się 5 do 10 minut najwyżej. A przyrządzają się w ten sposób: tłuczona gorczyca rozrabia się letnią wodą—można dodać kruszynę mąki żeby się lepiej trzymało. Smaruje się na płótnie i skrapia się octem, a ciałko także dobrze jest obmyć octem w miejscu, gdzie się synopizm ma położyć t. j. poniżej kostek obojczykowych. Dobrze też robi małej dziecinie nacieranie podeszewek na noc arakiem lub mocną wódką lub czosnkiem; lecz jeźli kaszel jest duszący, nerwowy, to czosnek draźni swoim zapachem. Najstraszniejszym kaszlem jest *krup*, którego cechy są tak odrębne, że trudno aby ich matka nie zauważyła. Napada najczęściej dzieci od 1 do 4 roku, przy ząbkowaniu, zwłaszcza gdy dziecię jest tłuste. Dziecina zrywa się ze snu, chwyta się, bo ją dusi, jest rozpalona, kaszel jej przypomina ochrypłe pianie koguta, jest krótki; poczem dziecię płakać zaczyna, ale mu głosu brakuje. Dawniej ratowano krwi puszczaniem, potem pijawkami, które wiem z doświadczenia, jak smutne nieraz pozostawiają następstwa, skoro nie są stawiane z całą oględnością. Pamiętam naprzykład, jak półrocznej zaledwie chłopczynie, silnej wprawdzie, kazano postawić 3 pijawki, które miały ciągnąć godzinę, tymczasem pijawki były wielkie; matka niedoświadczona, a felczer przekonany, że im dłużej ciągną, tem lepiej, ciągnęły więc pijawki 3 godziny. Choroba ustąpiła, ale dziecię pozostało jakby nie żywe od zbytnej krwi utraty, i mimo prawidłowej budowy piersi, stało się odtąd wrażliwe na wszelkie zmiany powietrza, a kaszel krupowy napastował je do lat 12-tu życia za lada powodem; utrzymując biedną matkę wciągłej trwodze. W takich przypadkach, powinna każda matka mieć w domu proszki emetykowe lub hipekakuanowe, przez lekarza zapisane i po pierwszem odezwaniu się tego dzikiego kaszlu, dać na wymioty. Często dziecię połykając z trudnością, brać lekarstwa nie może, lub nie chce; wtedy rozrobić je w większej ilości płynu, ziółek, a choćby i wody z cukrem i dawać co chwilka, póty, póki nie nastąpią silne wymioty, jednocześnie i po lekarza posłać; ale wymioty rzecz najpierwsza. Ja kładłam niezwłocznie i kataplazm z wody gorącej na gardziołko i całe piersiczki. Pani Nakwaska między innemi mówi: Gdy tylko usłyszysz ten głos odmienny, na którym się żadna matka omylić nie może, ani chwili nie wahaj się ratować twe dziecię! Dla tego w pokojach sypialnych, obok lekarstwa zawsze w nocy, przy drobnych dzieciach, powinny być w pogotowiu: drzewo drobne, naczynie do zagotowania wody, („a dziwnym zwyczajem u mojej matki zawsze paliła się w nocy olejna lampka wstawiona w mosiężną kuchenkę, w której z boku osłaniała światło ściana blaszana a na wierzchu której stało półkwartowe naczynie wodą napełnione, którą w każdej chwili użyć było można, wreszcie maszynki spirytusowe a dziś i naftowe, tańsze od spirytusowych")

Lecz dalej radzi p. N. jako pierwszy środek w krupie, przykładanie na gardło kataplazmy z siemienia lnianego tłuczonego, rozrobionego w wodzie gotowanej. Taki kataplazm nakłada się w woreczek płócienny lub muślinowy, z wierzchu smaruje się go oliwą i okłada gardziołko, (na zmianę powinien być drugi, ciepło jego miarkuje matka przykładając go do swego oka, żeby dziecka broń boże nie oparzyć). Kataplazm ten jest ważnym środkiem bo jeżeli dziecię goręczki nie ma a kaszel się nie powtarza; samo jego przykładanie jest niekiedy dostatecznem. Jeźli zaś po godzinie dziecię czuje duszność, kaszel się wzmaga i gorączka trwa, to nie masz chwili do stracenia, trzeba dać łyżeczkę ulepku z hipekakuany a w 10 minut ją powtórzyć i t. d. *) W ostatecznym razie p. N. każe wezwać doktora. Podług mnie i kataplazm i wymioty powinny być jednocześnie i szybko użyte, bo w prawdziwym krupie każda minuta decyduje. Jeszcze jeden środek na krup mi radzono, przytaczam go także, ale radzę zawsze działać spiesznie. Burak duży ćwikłowy przekrój na połowę, wydrąż nieco w samym środku i nasyp w to miejsce tłuczonego lodowatego cukru; gdy się rozpuści na gorącym trzonie lub w piecu, zlej sok a nasyp świeżego cukru i tak postępuj, póki burak sok puszczać będzie. Tak przyrządzona mikstura—łyżeczkę co 10 minut dawana, ma nawet krupowy kaszel przerywać; lecz tego środka nie probowałam sama. Jest jeszcze kaszel koklusz zwany; na ten kalinę w miodzie smażoną zalecają, śmietanę młodą po parę razy dziennie i tysiące innych środków; ale te znajdziesz w poradnikach, ja z kokluszem nie miałam do czynienia, wiem tylko, że zmiana powietrza, mieszkania nawet, oddychanie smołą i t. p. są zalecane. Zawsze to choroba wycieńczająca, uporczywa a niekiedy śmiertelna, wymaga więc troskliwej opieki. Dla starszych w kaszlu: mleko z miodem i młodem masłem zagotowane, przez parę dni na noc używane, lub piwo podług niektórych z miodem i masłem. Ziółka pektoralne, lukrecyja, oliwa z cukrem, żółtko ubite z cukrem i bzowym kwiatem, badyjanem lub lipowym kwiatem na noc parę razy pite: ślaz, siemie z cukrem lodowatym za napój, oddychanie parą cebuli parzonej ukropem z wody lub octu i tysiące innych domowych środków. Ból gardła leczy okładanie z szarego lub białego mydła z wody zimnej samej lub z solą, tylko chustkę wyżymać i nawierzch suchą szczelnie okrywać trzeba. Płukanie z szałwii samej lub z miodem. Woda z solą lub z ałunem, dobrze także robi ałun przez pióro wdmuchany w gardło w czasie zapalenia, i mnóstwo jeszcze innych przesłałabym ci środków, które przynajmniej nikomu nie zaszkodzą, ale czas nagli, zostawiam więc resztę na później.

Już miałam zakończyć pierwszą moją pogadankę, kiedy przyniesiono „Gospodarza" toruńskiego, a między innemi bardzo skuteczny środek na kaszel i inne cierpienia płuc, (o którym ja przepomniałam.) A jest nim: mech islandzki. Weź tego mchu uncyją, pisze „Gospodarz," wlej nań kwartę wody wrzącej i niech się gotuje zwolna tak, żeby trzecia część została ztego, co było w garczku, reszta powinna się wygotować. Po czem przecedź na płaskie naczynie i postaw na zimnie. Zrobi się z tego galareta wcale smaczna; a tę spożywaj w ciągu dnia po łyżce, ponawiając przez dni parę w ten sposób i w tej ilości przyrządzoną miksturę. Ma to bardzo płuca wzmacniać.

Często zdarza się pisze jeszcze toruński „Gospodarz," że ktoś dźwignąwszy zbyt wielki ciężar, lub pracując nad siły, skarży się na *oberwanie*, dolegają mu kolki, ból w piersiach i krzyżu. Najskuteczniejszem na to lekarstwem jest następujące: Ubić białko jednego jajka na pianę, wlać w nią pół skorupki tegoż jajka, i octu, i tyleż oliwy lub rzadkiego gęsiego szmalcu; wymięszać dobrze to wszystko i wypić a na to zaraz szklankę lipowej lub bzowej herbaty na poty.

Na wszelkie cierpienia *wątroby* zaleca też „Gospodarz" — jeść codzień naczczo, ubite żółtko jednego świeżego jaja, a poczuje się wkrótce ulgę. Lecz jeżeli żółtko ma być bez cukru, to po co je ubijać, łatwiej tak wypić, ale o cukrze gospodarz nie wspomina. Lecz gdy mowa o wątrobie, to ja dodam, że kleik z jęczmienia przez czas dłuższy za napój używany, bardzo w cierpieniach wątroby dobrze robi, bo nawet żółtaczkę usuwa. Ale o tem cierpieniu pomówimy obszerniej w późniejszych gawędach naszych, w których przeszlę ci różne przepisy, jakie mi tylko na pamięć przyjdą. Radzę ci jednak, zapisuj sobie, co ważniejsze, bo to łatwo zaciera się w pamięci. Ja miałam spis podręczny, lecz przechodził on z rąk do rąk a ostatecznie, ktoś mi zeszytu nie oddał. Chciałabym jednak zachować pewien system w moich gawędach, przechodzić porządkiem cierpienia, na które środki domo we wystarczyć mogą, a tymczasem na dziś kończę.

Twoja

J. O.

*) „Dwór wiejski„—tom III str. 79.

Kronika Zagraniczna.

I

Pójdź szanowszy czytelniku i rzuć na chwilę okiem na społeczeństwo *w kraju nieprawdopobieństw*.

Nie ma niebezpieczeństwa, bo kraj ten nie na księżycu, podróż nie balonem, ale drogą żelazną zdążającą nad piękny „modry Dunaj". Tak, kraj „an der schönen blauen Donau, którego stolicą stara Vindobona, jest krajem *„der unwahrscheinlichkeit*, jak powiedział pewnego razu były minister i kanclerz państwa Buest. Wszystko się tutaj stać może, coby się nie stało gdzieindziej i na wszystko karygodne znajduje się sposób, no dziwny, ale też i miły. Co było godnem kary, staje się zasługą.

Słyszeliście może o procesie, wytoczonym Ofenheimowi? Pan to milijonowy, a część tych milijonów złożył jako kaucyją, ażeby mógł odpowiadać na wolnej stopie przed kratkami sądą. O co obwiniony?

Szeroko o tem Dawid pisał, bo akt oskarżenia zawiera aż IX długich artykułów. A o co idzie? Była sobie Galicyja, kraj nieposiadający kolei żelaznych i byli ludzie, książęta i brabiowie galicyjscy, którzy chcieli zrobić krajowi dobrodziejstwo a sami zarobić co na dobrodziejstwie i wybudować drogę żelazną. — Zbudowano tedy drogę ze Lwowa do Krakowa, a potem pomyślano o drodze takiej ze Lwowa do Czerniowic. Jeneralnym dyrektorem tej drugiej drogi zrobili panowie Ofenheima, a on z wdzięczności dla nich, pamiętał też potem o nich. On miał czuwać, ażeby przedsiębiercy zbudowali kolej dobrze, a potem wziąwszy od tychże przedsiębierców grube sumy, pozwalał im źle budować i sam budował jeszcze gorzej.

Była i rada nadzorcza, ale rada patrzyła przez palce, bo członkowie jej brali po kilkanaście tysięcy za to, żeby kolej była źle zbudowaną. Obwinia go jeszcze oskarżenie, że wyłudzał prowizyją od fabrykantów, i nie brał tych dochodów na korzyść akcyjonaryjuszów, ale wolał chować do kieszeni. Panowie z rady nadzorczej a wielce miłościwi dobrodzieje galicyjscy powiedzieli w sądzie, iż zrzekli się tych zysków na rzecz kieszeni dyrektora jeneralnego.

Otóż opinija nad „modrym Dunajem" oburza się bardzo i tubalnym woła głosem:

— Człowiek ten (Ofenheim) to egzemplarz rzadki, to wzór *geszeftsmana*, (na wyrażenie to nie ma w żadnym słowiańskim języku odpowiedniego wyrazu, ale *geszeftsman*, to znaczy człowiek, który bądź co bądź dorabia się majątku sposobem wszelakim, a jednak tak zręcznie, by nie wszedł w kolizyją z prawem, z ustawą— otóż tedy wzór geszeftsmana, i takiego człowieka poważył się prokurator zaciągnąć przed trybunał przysięgłych— zgroza! zamach na teoryje ekonomiczne,

— Kiedy bo—odzywa się głos nieśmiały,— kiedy państwo ponosi szkodę kilkunastu milijonów guldenów, gwarantowało dochody kolejowe, a w skutek karkołomnej drogi ciągły niedobór....

— Zechciej pan lepiej trzymać język za zębami—zakrzyknie na to inny głos geszeftsmana — to nie wina Ofenheima, on przecie jasno wyłożył to sądowi, który zresztą nie jest fachowym. On powiedział: raz wiatr gwałtowny zniósł cały pociąg ze szyn i obalił, innym razem ten sam wicher silniejszy jeszcze powyrywał szyny z progów, i po raz trzeci huragan rozwiał na cztery wiatry nasypy, ba nawet i szuter kamienny. To jaśniejsze od słońca, że klęski nabroiły, a taki geszeftsman ma za to pokutować?

Hm, hm! nigdy— popiera inny — takiego człowieka zrobiłbym raczej ministrem finansów austryjackich.

— On też nim zostanie niezawodnie.

— A!—usiłuje protestować ów głos nieśmiały.

— Wcale nie aa! aber *sehr wahrscheinlich*.

— Ha! ha!—potrząsa głową ten i ów i konkluduje przypominając słowa pana Beusta:

— *Ja, ja das Land der Unwahrscheinlichkeiten.*

(Tak, tak, a cóż, kraj to nieprawdopodobieństw.)

Jak widzicie opinija nad modrym Dunajem jest bardzo elastyczną, regulatorem jej nie sumienie ale geszeft, gdzie czuje ciepłą kieszeń tam się skłania. A że większa część żyje nie z pracy, ale z dobrego geszeftu, obcho-

dzi się więc łaskawie z każdym podobnym, któremu się noga powinie lub ręka sięgnie niezręcznie w cudzą kieszeń.

Stolica naddunajska ma nietylko swoję specyficzną opiniję, ma i fabryki, w których wyrabiają się prawdziwe angielskie materyje, prawdziwe francuskie galanteryje, gdzie za 10 *guldenów (!)* nabyć można umeblowanie na cały salonik nie wyjmując firanek, konsól, ba, i biustów nawet sławnych ludzi.

Jeżeli humbug amerykański stara się kosztem śmiechu zarobić i żyć, to *blaga* naddunajska wysila się na oszustwo, które musi od razu zbogacić.

Ten i ów powiada: kiedy Ofenheim, Herz i inni potrafili w przeciągu lat niespełna dziesięciu dorobić się milijonów, czemużbym ja nie miał zrobić choć jednego nędznego milijonika.

Trzeba jednak pamiętać i o tem, żeby Berlin nie zaćmił *die Kinder Wiens* (Dzieci Wiednia), no jużci.

Więc cóż się robi, jak radzi? Ba—a cóż robi świat wielki Londynu lub Paryża, co zaatlantyckie kraje?

Zakłada syn Albijonu muzea, to i my potrafimy, tylko z krzykiem, szumem, z rozgłosem—niech świat wie, że Wiedeń, to nie trzecia nie druga stolica w Europie. Domagają się bracia Niemcy od Bismarcka ślubów cywilnych—o! wielka historyja, myśmy już nad tem radzili (choć zrobili rzecz połowiczną) Ale cóż to szkodzi, Watykan drżał, Anglija przyklasnęła, bracia z nad Sprewy byli zdumieni... Tego nam tylko trzeba. W Berlinie wloką damy za sobą ogony na półtora łokcia, my nad modrym Dunajem przyczepimy im trzyłokciowe. Mają Berlińczycy swego Bismarcka i Arnima, co tak niedyskretnie pisał o zegarkach do których Bawarczycy w czasie kampanii francusko-pruskiej mieli osobliwszą predylekcyją i—kradli je gdzie dopadli—no to my mamy Ofenheima z osobliwszą znowuż predylekcyją do akcyj kolejowych, mamy Zubowicza, który Paryż w zdumienie wprawił... Zresztą, poco sięgać aż niezwykłych osobistości, każdy śmiertelnik wiedeński przyjął za zasadę orzeczenie, choć może nie słyszał niejeden, orzeczenie Dumasa ojca, że: „interes, to pieniądze (cudze) innych ludzi.“ Temi pieniędzmi napchać własne kieszenie, to zadanie.

Społeczeństwo to jest nietylko wielką kaźnią *geszeftów*, ale jest oraz co się zowie „papugą narodów europejskich.

Aż żal, że tyle niezaprzeczonej zręczności, energii, wytrwałości, zużywa się do celów osobistych. Co by to być mogło z tego społeczeństwa, gdyby choć cokolwiek mniej sobkostwa, a więcej baczenia na interes ogółu. Świat by się zdumiał dokonaniem jakiegoś olbrzymiego nieprawdopodobieństwa w tym kraju nieprawdopobieństw.

Zaglądnijmyż teraz i nad Sprewę, do Berlina. Co się tam działo przed laty dwudziestu, a co się dzieje teraz. Przed laty dwudziestu, prawowierny potomek Lutra czytał pilnie bibliją—szanował swych pastorów a szanując własne wyznanie miał respekt i dla katolicyzmu. A wyjątki? zdarzały się, ale nie wiodła się propaganda bezwyznaniowości.

Onego czasu jeden z takich wyjątkowych Prusaków naczytawszy się o swobodzie angielskiej, o rozumie starogreckim i nabiwszy głowę nazwami mitologicznemi, chciał naśladować Anglików. Słyszał, iż ci sławni z dziwactw ludzie przestali dzieciom swoim dawać na chrzcie imiona z kalendarza, a nazywają je mianami miejscowości, w których zdarzyły się jakieś doniośliejsze wypadki — np: Austerlitz, Elba, Alma, Salamina i t. p.

— E! fraszki to wszystko— pomyślał obywatel nadsprejski i jak na to urodził mu się syn. Ochrzcić go, dobrze— rzecze do swojej Malchen, ale syn mój nie będzie się nazywał ani Lorenz, ani pospolity Hans, lub Wenzeł, ale....

— No, jakże, lieber Gustel? pyta przezacna połowica.

— Jupiter—odrzecze z namaszczeniem małżonek.

Malchen zadumała się nieboraczka, bo jak kolwiek Niemcy od dawna już prawią o podniesieniu umysłowem płci nadobnej, wówczas jednak nie było prawie tak zwanej przeciętnej Niemki, któraby wertowała inną książkę prócz kucharskiej a innego dziennika, prócz *modenweltu*— o uszy zaś jej nie obijały się nigdy takie wyrazy—zdumiała się tedy i... przystała na imie, które chciał dać swemu synkowi pan domu.

I wszystko szło jak najlepiej, aż gdy przyszło do odbycia obrzędu chrzcin, zaprotestował wielebny *Pater*.

— Gott sei uns gnädig — (Panie oświeć) rzecze—toż to pogańskie imie, czy nie lepiejby go nazwać Wilhelm albo Fryderyk?

Poczciwy ale znarowiony Gustel nie chciał ani słyszeć o takich imionach dla swego synaczka, a duchowny znowuż chrzcić nie chciał lecz dał wiedzieć o tem władzy okręgu miejskiego.

W kilka dni otrzymuje ojciec niechrzczonego Jupiterka wezwanie od sądu okręgowego. Idzie i dowiaduje się, że został skazany na grzywny.

— Panie sędzio za co? pyta ojciec.

— Za targnięcie się na wyznanie, które jest wyznaniem państwowem. (*Verstehen sie, sie vergreifen sich auf den Staats-cultus.)*

—A gdybym go wychował bez żadnego wyznania, gdybym go wcale nie ochrzcił, gdybym mu dał wiarę tylko w to, co człowiek pojąć może bez nadprzyrodzonych rzeczy, których nie ma, to co?

— To zostałbyś nietylko na grzywny skazany ale w *cuchthauzie*, gdyż *Staats-cultus* jest podstawą moralności publicznej. Chrzcić zatem musisz i to wybrawszy imie z kalendarza uznanego przez *kultus* protestancki, a bronionego przez państwo.

Podumał Prusak, pokiwał głową, dobył sakiewki, zapłacił grzywnę; zaprosił kumów i nazwał syna nie pogańskiem imieniem. Ale ciągle myślał: gdzie to nam do tej swobody sumienia co w Anglii, co w Ameryce! Wzdychał, wzdychał ciężko przez lat blisko dwadzieścia... A teraz? A gdzie Staatscultus, gdzie podstawa moralności publicznej? Publiczna się znajdzie, bo być musi, ale gdzie prywatna, gdzie skromni a wielcy myśliciele. Rzadko słyszymy ich głos, a jeśli się odezwie, zakrzyczą go inni, a ci inni są *hochmüthig* (pyszni) są krzykliwi. Prawda rozumni czasem, ależ z drugiej strony próżni, wyglądają niekiedy jak obywatele partykularza. Ci maluczcy dumni ze swojej sławy powiatowej, nad sprejscy obywatele dumni swoją siłą. Jak niegdyś Roma przed upadkiem wołała: w proch przedemną, tak dzisiaj Berlin nie widzi tylko siebie. Literatura nasza, fiu! nie ma drugiej takiej, my nic nie potrzebujemy od francuzów. A tymczasem znalazł się sumienny Niemiec, który w bieżącym już roku wydał sporą księgę o przeszło 900 stronnicach zawierającą wszystkie wyrazy francuskie, któremi *das grosse Culturvolk*, (świecznik narodów) naszpikował swój język.

Wzdychał ojciec Jupiterka nadsprejskiego do swobodnego dziwactwa synów Albijonu... Rozradować się musiało jego serce i serce synka w tych czasach płodem takim, jak świeżo wydany: *Rocznik niemieckiego Towarzystwa Szekspirowskiego.* Dzieło to wiekopomne— bo cóż teraz nie takie jeśli wychodzi w Niemczech—wyszło z polecenia prezesa towarzystwa wielbicieli Szekspira, wydane przez *Karola Elze* w Weimarze. Nie lada jakie rozumowanie uczonych w *Szekspirze*, i nie o lada rzecz idzie. Dotychczas sądzono, że Szekspir jest, był i zostanie wielkim poetą—co za błąd! Według ostatecznego wyniku rozumowań Rocznika, Szkspir jest... umiejętnością. Tak, tak szanowny czytelniku, niebawem doczekamy się może doktorów i kandydatów Szekspirologii. Wielbiciele jego na zimno, przesadzili i zrobili rzecz niedorzeczną. Brakło im istotnego wykształcenia, serca, poczucia, musieli zatem udawać to wszystko. Nie potrafili opisać wrażenia, jakie robi prawda psychologiczna na umyśle rozgarnionym, a chciało się dowieść, że się lepiej rozumie kreacyje Szekpirskie od zwykłych profanów, co przyklaskują szlachetności, zwycięstwa wielkiej idei, co się oburzają niecnemi czynami wyrodnej córki Learà, i postanowili łatać nawet Szekspira.

I tak w Hamlecie zarzucają Szekspirowi, że zabierając Ofeliję w trzecim akcie, rozumną ze sceny, w czwartym już, ale aż w scenie piątej wprowadza ją kompletną waryjatką. Otóż błąd, otóż niedostateczne przedstawienie dla widza, jakim sposobem przechodziła Ofelija w stan obłąkanej, który jest przecie stanem i „najrozmaitszych cielesnych zboczeń.“(!) A co, czy nie dowcipni są kulturnicy? Ażeby pouczyć o tem czytelnika każą mu zapomnieć, że Ofelija zanim pojawia się w czwartym akcie, traci ojca, ginącego pod ciosem mordercy, który jest jej kochankiem i że ten kochanek skazany na banicyją— każą mu zapomnieć o tem a biedz do zakładu obłąkanych, by tam komisyja medyków wydała świadectwo, że Ofelija mogła w samej rzeczy oszaleć.

Śmiech pusty już zbiera z tego co prawią dalej i tylko dla tego śmiechu, powtórzę dosłownie co mówią kandydaci Szekspirologii:

„Wszakże nikt nie uwierzyłby, ażeby przez ten czas (to jest od trzeciego aktu do piątej sceny czwartego) mogła była Ofelija usnąć choć na chwilę spokojnie, *by mogła jeść z apetytem*; (otóż to jeść, nie daje usnąć śmiertelnikowi narodu narodów) oddech jej musiał być stłumiony, przerywany częstemi westchnie-

niami, serce zapewne biło nieregularnie. Łatwo (sic) wyobrazić sobie, że wszystkie jej funkcyje cielesne musiały odbywać się nieprawidłowo".

Przyzna świat, że o takich komentatorach ni śniło się zapewne i samemu Szekspirowi. Uczeni w Szekspirze przychodzą publiczności w pomoc z fantazyją medyczną, z psychiatryją etc. i gotowi, jak mówimy urządzić uniwersytet dla zbadania rozmaitych funkcyj ciała bohaterów Szekspirowskich. Kiedy dziwactwo i curiosum, to już takie, że chyba nie znaleźć ich i na ziemi Washingtona.

d. c. n.

ZARYSY
Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

VI.
Gubernija Grodzieńska.

(Ciąg dalszy).

Wskażmy teraz znaczniejsze osady w gubernii Grodzieńskiej znajdujące się.

Już sama nazwa *Grodno* dowodzi głębokiej starożytności tej osady. Grodno u dawnych latopisców nazywa się *Horoden*, a powstało z jeszcze dawniejszych nazw *Horodka*, *Horodyszcza*. Że słowianie po nad Niemnem i Wisłą byli najdawniejszemi osadnikami — to już kwestyja dostatecznie roztrzygnięta. Że po nad Niemnem była niejedna osada jeszcze z epoki kamiennej, w ostatnim jej okresie, t. j. wkrótce po ostatnim potopie, to udowodniają świeżo odkryte przez Zygmunta *Glogiera stacyje krzemienne*. Ludzie zaledwo z jaskiń wyszli, jednocześnie gdy jedni na wodach sadowić się poczęli, drudzy obierali dla siebie mieszkania na wyniosłościach nadbrzeżnych, skąd właśnie powstały i *Horodyszcza*. Następnie człowiek dawne swe mieszkanie, jaskinię, na cmentarzysko zamienił, na wodne mieszkanie na składy lub wodne forteczki obrócił, a sam już szukał miejsc wyniosłych, gdzie mógł swobodniej szeroką piersią oddychać. Nic więc dziwnego, że gdzie dzisiejsze Grodno, na wyniosłości, po nad Niemnem, było odwieczne *Horodyszcze*, to jest miejsce obronne starożytnych słowian, rzeką, rowami i *ohorodą* t. j. zagrodą, ogrodzeniem otoczone, lub też wałami ze stosów kamieni ułożonemi, które w razie napadu na oblegających zrzucano. Miejsce to jak i wszystkie podobne, jak wszystkie horodyszcza czyli grodziska, dla wielu dotąd tak dziko i niezrozumiale jeszcze wyglądające, nie tylko za obronę od nieprzyjaciół służyło, lecz było zarazem punktem osadniczym, gdzie ludzie mieszkali, ofiary bogom składali, wiece swoje odbywali. A gdy z biegiem wieków ludność się zwiększała, ład i porządek większy zaprowadzono, wtedy już i po za obrębem głównego Horodyszcza, Hrada, Horodka, ludzie osiadali, a te miejsca już nazywały się *pry-horod* (przy-gród, t. j. przy-grodzie, późniejsze nasze przedmieścia), samo zaś Horodyszcze z wzniesionym zamkiem niejednokrotnie już nazwę góry zamkowej otrzymywało. Kto zna Grodno i pamięta górę zamkową nad Niemnem, pry-horod *Kołoże* i wszelkie inne warunki, niezbędne dla starożytnej osady, ten przyznać musi, że nasze Grodno do najdawniejszych siedzib słowiańskich należy, a zawiązkiem jego było Horodyszcze, tak samo jak i wiele innych miejscowości, które z Horodyszcz dawnych, później przeistoczyły się w grody, w obronne zamki i fortece, lub też klasztory, tak samo jak w Wilnie (bakszta), w Starych Trokach, w Krewie, w Kiernowie, w Częstochowie, w Krakowie (Wawel), w Tyńcu, w Tenczynku, w Alwerni, w Lipowcu i t. d. i t. d. na całej przestrzeni słowiańszczyzny.

Przechodząc do epok późniejszych, do ery chrześcijańskiej, pierwszą wzmiankę o *Horodenie*, znajdujemy pod rokiem 1128 w *Latopisu Hipacowskim*, jako o stolicy udzielnej włości. Na początku XII stulecia księciem tej włości był Wsiewołod Dawidowicz prawnuk Jarosława W. jakoż Latopisy mianują go księciem *Horodeńskim*. Karamzin, a za nim i niektórzy inni, mylnie sądzili, że tu mowa o Horodnie pod Mińskiem. Wsiewołod w r. 1167 ożenił się z córką Włodzimierza Monomacha, Agatą. Mieli oni dwóch synów Borysa i Hleba. Najstarożytniejsza zaś cerkiew w Grodnie, jeden z najrzadszych zabytków już pod architektonicznym względem w całej słowiańszczyznie, właśnie pod wezwaniem *Borysa i Hleba* istniała. Przypuścić więc można, że i założenie jej przez książąt tego imienia, lub może jeszcze przez ich ojca, w tejże epoce nastąpić musiało. A że już były w owym czasie *cerkwie murowane* w Grodnie, widzimy wzmiankę w latopisie pod rokiem 1183, gdzie opowiada o spaleniu od pioruna pałacu i cerkwi murowanych. Istniała wszakże cerkiew Borysa i Hleba jak to zobaczymy dalej.

W r. 1241 na urwistym brzegu Niemna z prawej jego strony stał drewniany gród, w którym panował nad okoliczną krainą książe Jerzy Hlebowicz, gdy Kajdan, wódz strasznego Batego napadł zamek i całą okolicę srodze spustoszył. Dzielny Jerzy padł w bitwie. Wkrótce widzimy też już panem Erdziwiłła Montwiłłowicza, który na zgliszczach dawnego, wzniósł nowy wspaniały zamek i na tę pamiątkę przed wałami *Stołp* czyli wieżę warowną wznieść z kamieni rozkazał. Od tego czasu niezważając na niejednokrotne napady krzyżaków, jak również kuszenie się książąt Halickich na współkę z tatarami do odebrania zamku, Grodno stale do posiadłości litewskich należało, a sławny Witold panując tu od r. 1385 najwięcej przyczynił się do wzrostu i zaludnienia miasta.

Nieopowiadamy tu dalszych dziejów Grodna dobrze znanych z innych źródeł *). Lecz wróćmy raz jeszcze do cerkwi Borysa i Hleba.

Witold w r. 1405 napadł na Psków i wziął w niewolę 11 tysięcy mieszkańców *pry-horoda Kołoże* pod Pskowem, zaprowadził ich do Grodna i tu osadził niedaleko archimandryi i cerkwi Borysa i Hleba. Nowi ci osadnicy założyli nowy *pry-horod*, który tak samo jak swój rodzinny *Kołożą* nazwali. Od tego to czasu i sama cerkiew nazwę Kołożońskiej otrzymała i do dziś dnia ją przechowała. Wiadomo jak dobrze się wiodło wszystkim osadnikom, których Witold sprowadzał, nawet tatarom i karaimom, którzy i teraz jeszcze pamięć jego błogosławią. Nic zatem dziwnego, że i Kołożanie znaleźli środki odnowienia świątyni, przy której istniał klasztor, hojnie uposażony przez Zygmunta I w latach 1508 i 1531. Przedtem jeszcze W. książe Aleksander nadał temu klasztorowi r. 1500 dobra *Czeszczewlany*, dodając w przywileju, *że to się czyni przez wzgląd na dawność tej cerkwi* **). Klasztor ten za Zygmunta III został bazylijańskim.

Sama cerkiew przy osypaniu się góry wskutek wylewów Niemnowych, które ją znacznie podmyły, w części zrujnowana. Pozostało wszakże jeszcze dość, aby służyć na świadectwo o umiejętności Rusinów co do pięknego budowania świątyń w czasach tak odległych. Budowa jej należy do znanych, ale nader rzadkich urządzeń akustycznych, ze sklepieniami *garczkowemi*. Zewnątrz ściany składają się z muru w jedną cegłę, wewnątrz zaś wykładane garnkami, w kształcie urn, z wązkiemi otworami niczem nie zatkanemi. Niektóre garnki mają pół łokcia wysokości, nawet więcej, inne zaś mniejsze, i tak idą rzędami, jeden nad drugim od dołu do góry, a tak mocno spojone, że z trudnością wydostać je można ***).

d. c. n.

*) Ob. Narbutta, Jaroszewicza, Balińskiego i innych.

**) J. N. Niemcewicz w podróżach historycznych (str. 308 wyd. w Peters. r. 1859) powiada, że w r. 1819 z zachodniej strony na Cerkwi widział wyryty na kamieniu starosłowiańskiem pismem następujący napis: „Położon Rab Boży Eliazar leta od sotworenia mira 6998" t. j. 1490. — Przed rokiem 1860 sam jeszcze widziałem ten napis.

***) Wszakże wydobyte stąd garnki zdobią rozmaite muzea, a niedalej jak w r. 1874 p. E. P. jeden taki garnek sam jeszcze wydobył i zawiózł do Lwowa, do Muzeum Zakł. Ossol.

JAK NALEŻY ROZWIJAĆ UMYSŁ DZIECKA?

napisał
Aleksander Głowacki.

(ciąg dalszy)

N. Patrz na to ziarno grochu i mów co się z nim stanie.

U. Ziarno leżało na stole, teraz zaś leży na krześle, — zmieniło zatem położenie. Pierwej leżało przy prawej krawędzi stołu, teraz toczy się ku lewej, więc znowu zmienia położenie, rusza się.

N. Cóż jest więc ruch?

U. Jest to zmiana miejsca w sposób ciągły, to znaczy że przedmiot będący w ruchu w każdym oka mgnieniu zajmuje inne miejsce, leżące obok tego, które zajmował w poprzednim okamgnieniu.

N. Przypatruj się ruchowi tych dwu ziarn grochu i mów co widzisz.

U. Jedno biegnie po drodze prostej, drugie po krzywej, jedno wolniej, drugie prędzej; je-

dno krócej, drugie dłużej; jedno przebiegło drogę krótszą, drugie dłuższą.

W ruchu zatem uważać należy; *a*) *kształt drogi* po której ciało przebiega np. kamień wolno puszczony spada do ziemi po linii prostej, wyrzucony z procy biegnie po krzywej, mucha lata po powietrzu po linii bardzo pokrzywionej. *b*) *Prędkość* np. koń ubiega kłusem na godzinę 10 wiorst, człowiek uchodzi 5—6, koń więc biegnie prędzej. *c*) *Czas* trwania ruchu np: jeden człowiek podróżuje cały dzień, drugi tylko godzinę. *d*) *Wielkość* przebytej drogi np. ten kto przejechał z Warszawy do Berlina, przebył drogę krótszą, niż ten kto przejechał z Warszawy do Paryża.

N. Oto dwie szklanki wody i dwa kawałki siarki, uważaj co się z niemi stanie.

U. Pierwej obie szklanki wody i oba kawałki siarki były do siebie podobne:

I	II
woda czysta,	woda czysta,
siarka.	siarka.

Teraz zaś pierwsza grupa *zmieniła* się w sposób taki:

I	II
woda z cukrem,	woda czysta,
siarka płonąca.	siarka.

Woda nabyła smaku słodkiego, którego pierwej nie miała, siarka zaś płonąca wydaje woń której w stanie zwykłem nie posiada.

Z tego doświadczenia pokazuje się, że niekiedy w ciałach zachodzą zmiany, oddziaływające na smak i powonienie.

N. Oto są dwie naciągnięte nitki jedwabiu, które pod palcami wydają dźwięk. Uważaj co się z niemi stanie.

U. W pierwszej chwili obie nitki wydawały dźwięk jednakowy, teraz zaś jedna z nich a mianowicie ta którąśmy naciągnęli wydaje dźwięk wyższy.

Zachodzą więc niekiedy w przedmiotach zmiany, które dają się ocenić za pomocą słuchu.

N. A *zmiany położenia* zapomocą jakiego zmysłu dają sie ocenić?

U. Kiedyśmy robili doświadczenia z grochem, to wówczas zmiany położenia oceniałem za pomocą wzroku; można je jednak ocenić za pomocą dotyku. Gdybym zamknął oczy i gdyby mi ktoś po skórze przesuwał koniec ołówka, szpilki lub jakiś inny drobny przedmiot, wówczas wiedziałbym czy przedmiot ten posuwa się po linii prostej czy krzywej, wolniej czy prędzej, dłużej czy krócej. Podobnież gdygdyby np. po tym stole chodził chrabąszcz, mógłbym dotykając go palcami ocenić: w którą stronę i jak prędko posuwa się? W każdym razie jednak, wzrokiem zmiany podobne ocenia się najdokładniej.

N. Czy nie pamiętasz jaki to ruch ocenia się wyłącznie za pomocą dotyku.

U. Uderzenia pulsu i bicie serca, choć to ostatnie ocenić można także za pomocą słuchu. Słuchem także możemy ocenić szybkość chodu człowieka, wozu jadącego i t. d.

N. Dotykaj przedmiotów leżących na stole i mów co się z niemi stanie?

U. Były dwie grupy przedmiotów podobnych.

I	II
moneta,	kijek,
moneta.	kijek.

Nstępnie jedną z monet trzymałeś dłuższy czas w ręku, kijek prędko potarłeś o stół i skutkiem tego zaszły następujące zmiany:

I		II	
moneta	rozgrzane	moneta	nieogrzane
kijek		kijek	

W przedmiotatach więc tworzących obecnie pierwszą grupę, zaszła *zmiana temperatury.*

Mamy teraz inne grupy:

I	II
koszyk,	pudełko,
koszyk.	pudełko.

Grupy te obecnie musimy uszykować inaczej:

I		II	
koszyk	z piaskiem	koszyk,	bez piasku
pudełko,		pudełko.	

Przedmioty znajdujące się obecnie w grupie pierwszej, stały się cięższe skutkiem nasypania piasku.

Inne grupy:

I	II
wosk,	gutaperka,
wosk.	gutaperka.

Ogrzawszy przedmioty leżące w pierwszym rzędzie poziomym, ugrupować musimy wszystkie w następujący sposób:

I		II	
wosk,	miękkie	wosk,	twarde.
gutaperka,		gutaperka.	

Przedmioty więc znajdujące się teraz w grupie pierwszej zmieniły opór stawiany przy naciskaniu ich, stały się miększe. Tak więc za pomocą *dotyku* oceniamy zmiany zachodzące *w temperaturze, ciężarze i oporze.*

Inne grupy:

I	II
klej,	masło roztopione,
wosk,	oliwa.

Po ogrzaniu kleju i wosku, a po oziębieniu masła i oliwy, pierwsza grupa ze stałej stanie się płynną, a druga z płynnej stanie się stałą. Doświadczenie to uczy nas, że ciała mogą zmieniać *stan skupienia.*

Inny przykład.

Jeżeli wodę mocno ogrzejemy, wówczas stanie się ona parą, przejdzie w stan gazowy i na odwrot, jeżeli parę oziębimy, wówczas stanie się ona płynem.

Inne grupy:

I		II	
cegła,	chropowata	deska,	chropowata.
cegła,		deska.	

Na skutek wygładzenia przedmiotów leżących w pierwszym rzędzie poziomym, należy wszystkie ugrupować inaczej:

I		II	
cegła,	wygładzone.	cegła.	chropowota.
deska,		deska.	

Tu zaszła zmiana *powierzchowności.*

d. c. n.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XXII.

Straszna walka.

Podpłynąłem kilka kroków, a dostawszy się do gruntu zdążałem zwolna i cicho na piaski.

Tu zatrzymałem się przeziębniety, z ubrania lała się strumieniem woda, nic nie wiedziałem co z sobą począć. Znajdowałem się po drugiej stronie jeziora, a wybrałem tę stronę umyślnie, bom się obawiał prędkiego powrotu nieprzyjaciela...

Mógł złożyć zdobycz w legowisku i znów do mnie powrócić, mała antylopa to przekąska na ząb jeden. podrażnił tylko apetyt i będzie tym więcej zażarty...

Obawa dokuczała mi okrutnie. Przypuszczam że mu się potrafię wymknąć, zmykając przez stepy ale trzebaby nato dobrać się do konia i karabinu. Puszczać się pieszo na stepie byłoby to samo co się bez statku puścić na pełne morze. A czy bez pomocy konia zdołam się dostać zdrowo i cało do jakiego zamieszkałego miejsca, a czy mogę zresztą zostawić tak Mora?...

Zanadto kochałem to poczciwe stworzenie, i wolałbym własne życie utracić aniżeli rozstać się z nim w tak niegodny sposób. Nie, za nic go w świecie nie rzucę...

Jedyna droga po której mogłem przebyć rozpadlinę zajętą była przez nieprzyjaciela, bo bezspornie niedźwiedź znajdował się tam jeszcze...

Probować przebić się w tem miejscu było to, narazić się na spotkanie i śmierć niechybną.

Powrócić nad przepaść dla wyszukania jakiego innego przejścia, byłoby może najwłaściwiej.

Chciałem już rzucić się naprzód, aby to wykonać, kiedy ku wielkiemu przerażeniu spostrzegłem znowu tego przed którym uciec pragnąłem, tylko nie po tej już co ja stronie, ale na brzegu przeciwnym, w punkcie gdzie pozostawiłem konia.

Wyłaził właśnie na nierówny brzeg przepaści i wkrótce stanął na łące.

Opanowała mnie na nowo trwoga i stanąłem jak wryty, bom czuł aż nadto dobrze że rzuci się na Mora, który dojrzał też także zbliżającego się potwora, i widocznie czuł doskonale grożące mu niebezpieczeństwo. Przywiązałem go do kołka, o jakie czterysta kroków od przepaści na lince dwudziestu stóp długości. Gdy spostrzegł niedźwiedzia przeleciał na sam koniec linki, chrapał silnie i rwał się aby pobiedz dalej.

Nowy ten przykry wypadek przykuł mnie do miejsca. Nie miałem nadziei dania mu pomocy

biednemu koniowi, przynajmniej żaden na to sposób nie przedstawiał mi się wtej chwili.

Potwór skierował się prosto na Mora i omało serce mi nie pękło gdy zobaczyłem że już go prawie dosięga pazurami swojemi. Koń jenak odskoczył na bok i zaczął galopować do okoła.

Po gwałtownych usiłowaniach jakie czynił żeby zerwać linę, widziałem że mu się to nie uda, lina była z surowca, doświadczyłem już nieraz jej siły, a przytem pamiętałem jak mocno wbiłem kołek. Czegożbym nie dał ażeby pękła ta przeklęta lina?..

Przypatrywałem się walce, a serce mi z bólu pękało.

Moro unikał zaczepki, galopując ciągle do okoła, niedźwiedź podążał za nim... Ta scena podobną była do ćwiczeń cyrkowych, Moro grał rolę rumaka, przeciwnik—jeźdzca...

Parę razy lina silnie wyprężona, chwytała niedźwiedzia za łapy i obalała o ziemię, co powiększało wściekłość i tak już rozjuszonego zwierzęcia. Ile razy się podniósł zaczynał biedz z podwójną energiją...

To dziwne widowisko mogłoby być dosyć zabawne, gdyby tak smutne nie było.

Przeciągało się od kilku minut bez żadnej ważnej odmiany, w pozycyi goniącego i ściganego. Zaczynałem mieć nadzieję że niedźwiedź zmęczy się w końcu i da za wygranę, tem bardziej że parę razy oberwał potężne uderzenie kopytem, co nie koniecznie było mu na zdrowie, lubo chwilowo jątrzyło go i podniecało tembardziej, pragnienie zemsty.

Za chwilę walka weszła w inną fazę, która powinna była przyspieszyć ostateczne rozwiązanie. Lina zaczepiła znowu o niedźwiedzia, który jednak zamiast postarać się od niej oswobodzić, pochwycił ją pazurami i zębami. Myślałem że chce ją przegryść, a to właśnie było czego sobie gorąco życzyłem, na moje atoli wielkie utrapienie, zobaczyłem że mu o co innego chodzi...

Wdrapawszy się na wyprężoną linę—niedźwiedź posuwał się po niej bardzo wolno to prawda, ale zbliżając się coraz bliżej do swojej ofiary. Koń to spostrzegł i począł rżyć trwożliwie.

Nie byłem w stanie ścierpieć dłużej podobnego widoku, przypomniałem sobie o pozostawionym nad brzegiem przepaści karabinie, przypomniałem sobie że po wystrzale do antylopy, nabiłem go powtórnie..

Pobiegłem co sił starczyło nad przepaść, skoczyłem jak waryjat na dół, a wdrapawszy się na drugą stronę chwyciłem za broń i pospieszyłem na plac walki.

Na czas przybyłem bo stary Efraim nie dosięgnął jeszcze celu swoich usiłowań, chociaż nie więcej jak pięć albo sześć stóp, pozostawało mu do przebycia.

Przybliżyłem się na dziesięć kroków i dałem ognia...

Strzał przeciął odrazu linę, a oswobodzony Moro puścił się cwałem po stepie...

I niedźwiedzia trafiłem, jakem się później o tem przekonał, w miejsce jednak takie że kula, nie wiele mu więcej zrobiła jak uderzenie spicrutą.

Oswobodziłem biednego rumaka, teraz mnie przyszło się bronić, bo niedźwiedź skoro tylko zobaczył że koń mu się wymknął, ze wściekłym rykiem rzucił się ku mnie...

Trzeba było rozpocząć walkę, a tu czasu zabrakło na nowe opatrzenie broni... Uderzyłem poczwarę kolbą karabinu jak maczugą, poczem rzuciłem karabin na ziemię, chwyciłem nóż myśliwski i utopiłem go w napastniku, ale w tej samej chwili poczułem że mnie schwytał wpół i ściskał z całej siły.

Spiczaste pazury wpoiły mi się w ciało, jedna z przednich łap przyciskała mi biodro druga leżała na ramieniu, a długie białe zęby błyszczały i zgrzytały mi przed oczami.

Nie straciłem przytomności, owszem czując się zagrożonym, nabrałem jakiejś rozpaczliwej energii. Wydobyłem nóż i poraz drugi długie jego ostrze wsadziłem w bok dzikiej bestyi, a gdy trzymał mnie jeszcze, znowu i pokilkakroć razy powtórzyłem tę operacyją, szukając i macając za każdą razą serca.

Runęliśmy razem na ziemię, to ja, to niedźwiedź, na przemiany byliśmy na wierzchu lub pod spodem. Struga krwi pokrywała nas obu, widziałem jak buchała z paszczy strasznej bestyi, nie wiedziałem jednak co się ze mną dzieje. Byłem bodaj nieprzytomny, paliła mnie chęć zemsty, wrzałem ze złości...

Przewracaliśmy się tak i tarzali po trawie w tej walce o śmierć o życie, uczułem znowu spiczaste pazury i długie zęby co mi groziły pożarciem i Bóg wie który już raz z kolei ostrze mojego noża zagłębiło się po samę rękojeść.

Boże wszechmocny! czyż nie wspomożesz mnie w tej walce. Widzisz tę krew co płynie strumieniem po stepie i barwi go na czerwono, to we krwi tak się tarzamy...

Już nie mogę... nie, nie mogę... umieram...

ROZDZIAŁ XXIII

Starzy towarzysze.

Zdawało mi się że to już na drugim gdzieś świecie, toczę bój z jakimś złym duchem.. Ale nie, ja żyję jeszcze...

Ciężkie rany opatruje mi ktoś starannie — w jego oczach czytam wyraz serdecznego współczucia...

Spoglądam i widzę że znajduję się jeszcze na stepie, przypominam sobie straszny pojedynek niedawno przebyty, wszystkie jego szczegóły stoją mi żywo w pamięci.

Ale nie—toć ja uległem—tak z największą pewnością uległem i byłem zamordowany, ale jakimże sposobem czuję jeszcze, przypominam sobie i widzę... Poznaję po nad sobą niebieskie sklepienie nieba, widzę do okoła zieleniejącą łąkę—obok mnie jakieś cienie ludzkie, dalej widzę konie jakieś...

W czyjeż ręce dostałem się znowu?..

Ha! ktokolwiek są ci ludzie, są mi przecież przychylni, bo widocznie wyswobodzili mnie ze śmiertelnych objęć potwora...

Nie mam siły zapytać się o to...

Ci ludzie pochylają się ciągle nademną, jeden ma dużą brodę i gęste czarne faworyty, druga twarz chuda a ciemna jakby warstwą czerwonej miedzi pokryta. Oczy moje błądzą z jednej twarzy na drugą, jakieś coś, niby dalekie niewyraźne wspomnienia, przychodzą mi na myśl—te rysy... Widzę ale bardzo niewyraźnie—teraz znowu nie widzę nic... Osłabienie powraca. .

Straciłem przytomność...

Kiedy znowu przyszedłem do siebie, poczułem się silniejszym.

Słońce zachodziło, skóra bawołu rozwieszona na dwu tykach, zasłaniała od jego promieni miejsce na którem leżałem, byłem nakryty płaszczem, głowę miałem opartę na siodle, aże leżałem na boku, mogłem widzieć wszystko co się obok mnie działo. Opodal palił się ogień, przy nim zauważyłem dwóch ludzi jeden siedział, drugi stał—przypatrywałem im się uważnie.

Młodszy oparty na lufie karabinu, z oczami zwróconemi na ognisko, wyobrażał typ górala, miał z jakie sześć stóp wysokości, a szerokie bary wskazywały siłę i pochodzenie saksońskie. Ręce niby dwa młode dębczaki, dłoń trzymająca lufę—duża, sucha, żylasta, policzki szerokie i czerstwe chowały się do połowy w gęstych faworytach i brodzie. Oczy szare głęboko osadzone spoglądały stanowczo. Włosy były blond, a cera zapewne kiedyś biała—ogorzała do tego stopnia że wyglądała niby cera kwarterona. Ogół tej fizyjonomii czynił bardzo korzystne wrażenie, twarz to musiała być kiedyś piękną, a wyraz śmiały i wesoły zwiastował dobrą i szlachetną duszę.

To indywiduum nosiło bluzę myśliwską z wyprawionej skóry daniela, miękkiej jak rękawiczka, kamasze wyszywane do kolan, obuwie indyjskie z podeszwami ze skóry bawolej. Bluza przewiązana pasem otwierała się od góry, odkrywała gardło i piersi, ale na piersiach widać było koszulę z materyi delikatnej, czyli ze skórki antylopiej. Od bluzy opodał na ramiona zgrabny kołnierz zakończony frendzlą wycinaną z tej samej skóry, takaż frendzla zdobiła dół ubrania.

Na głowie nosił czapkę ze skóry jakiegoś zwierzątka, którego główka posłużyła za coś niby daszek wznoszący się nad czołem, a ogon centkowaty opadał na lewe ramię.

Przez ramię prawe przerzucony miał na pasku worek z kulami, uszyty z surowej skóry tygrysa, przyozdobionej głową ładnej kaczki nazywanej letnią, przy torbie wisiał duży róg w formie półksiężyca, na którem wyryte było nie jedno ważniejsze wydarzenie.

Uzbrojenie tego człowieka składało się wreszcie z noża i pistoletu, zatkniętych za pasem z długiego karabinu o tak wąskiej kolbie że mało co szerszą była od lufy.

Mało zwracałem uwagi na gust o jakim świadczyła toaleta i uzbrojenie strzelca, mało na staranność która świadczyła że nie był on obojętnym o swoję powierzchowność. W dodatku miał jeszcze na piersiach małą wyszywaną torebkę, była to pochwa na fajkę, dar zapewne, jakiej czarnookiej bogdanki...

Towarzysz jego była to całkiem odmienna figura, był to egzemplarz nie podobny do nikogo chyba drugiego na świecie. Wszystko w nim było szczególne i dziwne. Siedział po drugiej stronie ogniska, z twarzą bokiem do mnie zwróconą, z głową do samych kolan schyloną, raczej do suchej drzewiny aniżeli do ludzkiej istoty po dobny, owinięty był w skórę danielą, i gdy

by nie poruszenie rąk i szczęk bo zajęty był obrabianiem kotleta, który sobie upiekł na węglach, możnaby się naprawdę omylić.

Jego toaleta jeżeli ją tak nazwać można była prostą i dziką. Naprzód tedy nosił coś co by kiedyś—kiedyś—można było nazwać bluzą myśliwską, ale co dziś, podobnem było do jakiejś czarnej skórzanej torby, z rękawami połatanemi na łokciach, z łatami pod obu pachami.

Ta kiedyś bluza musiała mieć też kołnierz, ale ten jako zbyteczny, widocznie w różnych czasach po kawałku obracanym był na konieczne reperacyje, tak że dziś jakiś zeń tylko pozostał szpargałek.

Długie kamasze i obuwie odpowiadały bluzie, widocznie pochodziły ongi z tej samej co ona skóry. I te części garderoby były również zbrukane, pomarszczone i zaplamione a że niekoniecznie były całe, ukazywały więc nagie ciało tego samego co i skóra owa koloru. Ani koszuli pod spodem, ani żadnego innego okrycia, oprócz czapki bardzo wąskiej kiedyś z kociego futra ale tak wytartej, że goła tylko skóra twarda i tłusta została, nie miał ten szczególny elegant na sobie.

Czapka bluza i obuwie od chwili przymierzenia, a mogło temu być czasu kawał, nie nie schodziły chyba nigdy na odpoczynek...

Wspomniana bluza cała otwarta odkrywała piersi i szyję, które jak twarz ręce i nogi, spalone od słońca, poczernione od ognia, miały kolor zaśniedziałej miedzi. Krótko mówiąc cała osoba i ubranie były jakby zadymione umyślnie.

Ten człowiek lat około sześćdziesięciu, miał rysy trochę ostre, nos orli, oczy małe czarne przenikliwe, włosy czarne krótko ostrzyżone, cera kiedyś była ciemną, a że nie był podobny ni do Francuza ni do Hiszpana, prawdopodobnie więc pochodził z rasy anglo-saksońskiej.

Przypatrując się tej figurze spostrzegłem że w dodatku brakowało jej jeszcze czegoś, że mianowicie brakowało jej uszów.

Było coś strasznego w tem kalectwie i mimowoli przychodził na myśl jakiś dramat okropny, jakaś straszna scena barbarzyńskiej zemsty, jakaś popełniona zbrodnia i kara okrutnie wymierzona.

Dla czego te uszy nie były na swojem miejscu?.. przypomniałem coś sobie... znałem gdzieś człowieka siedzącego obok mnie...

Lat temu kilka już go widziałem, a nasze pierwsze spotkanie miało miejsce w warunkach prawie tych samych co dzisiaj. Zobaczyłem go wówczas siedzącego jak w tej chwili przed ogniem—robił sobie pieczeń i zajadał ją w tej samej co teraz postawie...

Żadnej zmiany w czapce z kociego futra w wązkich kamaszach i skórce daniela, pokrywającej te suche kości. Najprędzej to też nie zdejmował ich od tej pory, to jest od naszego ostatniego widzenia, a jednak nie zdawały mi się brudniejsze.

Był to Ruben Rawlings albo stary Rube jak go powszechnie nazywano, znakomitość pomiędzy pasterzami stepów. Jego towarzysz to Bil Gaarej także już dawniej mi znajomy.

Byłem więc z przyjaciołmi...

Chciałem na nich zawołać, kiedy w tem oczy moje zatrzymały się na grupie koni, a to co zobaczyłem poruszyło mię bardzo.

Naprzód spostrzegłem starą klacz z wytartemi bokami, z wystającemi żebrami, z długiemi uszami, z siwiejącym ogonem bez włosów. Ta klacz była podobną do muła, poznałem doskonale to wszystko. Widziałem dalej dużego silnego konia Gareja i wreszcie zobaczyłem mojego własnego Mora, przywiązanego obok nich. Była to miła nad wszelki wyraz niespodzianka, bo nie wiedziałem co się z nim stało, gdy popędził galopem uciekając przed niedźwiedziem i obawiałem się nawet czy go zdołam odszukać. Ale nie tyle widok Mora ile obecność czwartego jeszcze konia mnie zadziwiła.

Zadrżałem zobaczywszy te formy, ten kształt pełen gracyi i harmonii, tę maść białą srebrzystą, ten ogon powiewający i te uszki czarne postawione do góry—wszystko to miałem przed oczami to on — tak to on, to biały rumak stepów.

ROZDZIAŁ XXIV.

Szczególniejsza rozmowa.

Zdziwienie połączone z wysileniem jakie czyniłem żeby się trochę unieść, zmęczyły mnie, straciłem znowu przytomność — ale w krótce przyszedłem do siebie.

Przez ten czas moi przyjaciele zbliżyli się do mnie, a przyłożywszy mi coś chłodzącego do skroni, zaczęli między sobą rozmowę. Słyszałem wszystko co mówili.

— Niech dyjabli porwą te kobiety odezwał się Rube pierwszy, one zawsze gotowe popchnąć dobrego chłopca do jakiejś awantury. Oto ładny interes a to wszystko dla młodej dziewczyny—niech dyjabli porwą te kobiety—powiadam.

— Ba!... odpowiedział przeciągle Garej on bardzo kocha tę małą...

— Mówią że to śliczne stworzenie, a miłość to silne uczucie mój stary.

Chociaż miałem oczy otwarte nie mogłem widzieć Ruba, bom był zasłonięty, ale coś jak by bełkotanie, jakby picie z butelki dochodziło do moich uszów. Widocznie silne wrażenie uczyniła obserwacyja Gareja na umyśle jego towarzysza.

— Niech mnie Pan Bóg skarze mój Bill'u odpowiedział nakoniec, niech mnie Pan Bóg skarze, jeżeli ty nie jesteś takim waryjatem, przepraszam za wyrażenie. jak ten młody człowiek. Miłość jest silnem uczuciem.

— E! he! he! wiem ja dobrze że jest zdolna zawrócić głowę najrozsądniejszym ludziom, a cóż dopiero takim jak on dzieciakom— ale...

— Jak to stary czy ty nigdy nie zaznałeś miłości?..

— Eh! zgadłeś — Przytrafiło mi się raz to głupstwo, zakochałem się swojego czasu i to po same pięty! Ale bo też dziewczyna była szczególnie ładna...

Wyznanie to zakończył westchnieniem, które mi oddech żubra przypomniało...

— A któż to była ta dziewczyna, zapytał po chwili Garej, biała czy czerwona-skóra?..

— Czerwono-skóra krzyknął Rube z oburzeniem, nie, nie, to nie dla mnie mój kochany. Nie można jednak powiedzieć, aby czerwono skóra nie była wartą białej. Tamtej można się łatwiej pozbyć jak się znudzi, o znałem ja i tych indyjanek z pół tuzina a może i więcej.. Ale powracając do rzeczy, dziewczyna o której ci mówię była dobrą moją przyjaciołką...

— Więc to była biała...

— Zapytaj czy stokrotki są białe! Miała skórę jak czaszka żubra, wyblichowana na słońcu, włosy czerwone jak lisi ogon, oczy tego samego koloru. Ach! Billu kochany chłopcze, były to oczy od których można od razu stracić było głowę, duże jasne oczy niedźwiedzia, łagodne jak wyprawiona skórka młodego daniela, nigdy niewidziałem podobnej pary oczu.

— A jakże się nazywała ta piękna?..

— Nazywała się Charité, a o ile sobie przypominam nazwisko jej rodzinne było Holmes, tak. Charité Holmes— tak tak przypomniałem sobie. Było to w porcie Grand-Canard w głębi Tenessee, gdzie światło dzienne ujrzała. Czekaj no będzie temu lat trzydzieści jak ją pierwszy raz spotkałem u cukiernika. Przypominam sobie żeśmy jedli do spółki kawałek owsianego cukru, jedno trzymało jeden koniec, drugie drugi, aż dopóki nie spotkały się nasze usta w pocałunku! O to się nazywał pocałunek mój stary? Widzisz usta Charité były słodsze od cukru... drugi raz spotkaliśmy się gdzież to?.. A u kupca na rogu, tak — tak mi się zdaje... a póżniej na balu i o to jak poznaliśmy się bliżej. Widziałem tam Charité w tańcu, a gdy unosiła spódniczkę zobaczyłem nóżkę białą i gładką, coś niby młoda topola odarta ze skóry. Odtąd przepadł biedny Ruben Rawlings! Panno Charité powiedziałem — kocham pannę bardzo... Panie Rube podobasz mi się, odpowiedziała mi na to... Nie tracąc tedy ani chwili lecę do ojca Holmes i oświadczam się o córkę Charité jeżeli łaska. Niech dyjabli porwą kościsnego dziadka do orzechów. Odmówił mi niegodziwiec. Właśnie przybył jakiś wędrowny kupiec z Connecticut cały błyszczący, zalecał się do Charity i czy uwierzysz Bill ona poszła za niego. A co niech dyjabli porwą kobiety! One wszystkie takie. Niedługo potem spotkałem tego kramarza i dałem mu taką nauczkę że z miesiąc poleżał w łóżku, ale trzeba było się wynosić i wtedy przybyłem na stepy... Nie widziałem odtąd Charité, ale słyszałem o niej od jednego chłopaka z którym spotkałem się na Missouri. Prześliczna kobieta żyje jeszcze a do tego czasu musi mieć z pół kopy dzieci.... No cóż, czy można rachować na kobiety?.. Przypatrz się co się stało z tym młodym człowiekiem—albo nie mów mi o tem.

Aż dotąd nie brałem udziału w rozmowie, nie dałem poznać przyjaciołom że spostrzegłem ich obecność. Wszystko to było dla mnie jeszcze jakąś tajemnicą, szczególnie zaś obecność białego konia. Skąd się tu wzięli moi dawni znajomi, napróżno łamałem sobie głowę.

Nie mogłem także odgadnąć skąd znali przyczynę która mnie sprowadziła tutaj. Ani jeden ani drugi nieznajdowali się w wiosce ani w szeregach naszej armii, boć przecie sły-

szałbym o nich, boć by mi dali się poznać...

Jak się to stało, oni tylko sami mogli mi to wytłomaczyć a nie zagłębiając się w dalsze przypuszczenia, odwróciłem się do nich.

Rube Garej, —rzekłem — wyciągając ręce.

— Brawo!, powracasz do nas młody towarzyszu, to dobrze ale dąj pokój, i zachowaj się spokojnie, nie poruszaj się aż siły powrócą powoli.

— Weźno łyk tego kordyjału—odezwał się drugi z dobroduszną szorstkością, przykładając mi do ust małą wysuszoną tykwę która służyła za flaszkę. *d. c. n.*

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

1. *Systematyczny sposób początkowego wykładu nauki Religii i moralności dla głuchoniemych, opisany przez nauczycieli Religii Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i ociemniałych Kurs pierwszoletni.* Warszawa 1874, 8-ka więk. 224 str.

2. *Pamętuik Warszawskiego Insytutu Głuchoniemych i Ociemniałych z roku szkolnego 187¾ Rok piąty.* Warszawa, w drukarni Instytutu Głuch. i Ociemn. 1874 str. 317 i XLIII.

Niech nas nie odstręcza tytuł, mówiący że to jest dla głuchoniemych, niech nie osłabia naszego uznania to, że metoda ta zaledwie małą cząstkę instrukcyi religijnej, bo tylko pojęcie Bóstwa i Jego przymiotów z objaśnieniem modlitwy pańskiej, stanowi. Zaszczepienie tych pojęć w dziecku, w sposób najlepszy, najodpowiedniejszy, daje niezbytą podstawę do całej nauki Religii;—powiedzieliśmy, że skoro się nauczyciel z tego, jak należało wywiązał, całego prawie dzieła dokonał.

W duszy każdego człowieka tkwi poczucie religijności i moralności, ta zasada właśnie jak wiadomo była podstawą znanemu uczonemu francuskiemu do dodania do trzech królestw natury—czwartego, to jest królestwa człowieka. Wykład religii na tem poczuciu oparty nie zdaje się być trudny i nie jest trudny. Nie jesteśmy tylko zbyt pewni trwałości rzeczy na *poczuciu* opartych;—trwałość tę przypieczętować powinny dowody rozumowe na przekonaniu oparte. Ten właśnie drugi punkt wyjścia w *„sposobie wykładu religii“* stanowi jego zaletę. Nauczyciel idzie do swego celu najpewniejszą drogą, bo uzbrojony dowodami naocznymi, przez zmysły na rozum działającymi. Jestto wykład czystej wody poglądowy;—przemawia do zmysłów, przez podobieństwa rzeczy konkretnych daje pojęcie o abstraktach.

Nauczyciel przyszedłszy na lekcyją udaje że nie ma na czem usiąść, uczniowie podają mu krzesło, ale on znowu źle je stawia, uczniowie poprawiają. W podobny sposób dalej idzie nauka, budząca pierwsze myśli dziecka, że każdy przedmiot w szkole ma swoje przeznaczenie i sposób użycia. Wdalszym ciągu idzie zapoznanie dzieci z innemi przedmiotami. Najprzód rozpoznają się dzieci z rzeczami w skład ziemi wchodzącemi (kamień, glina, piasek i t. d.) następnie z rzeczami doskonalszymi od tych pierwszych tj. z roślinami, z istotami jeszcze doskonalszymi tj. zwierzętami. Wykład to obszerny, wyczerpujący i starannie wykazujący stopniowo istot tych doskonałość. Rzeczy te wszystkie świat stanowią. Trzeci obszerny rozdział tej pracy stanowi wykład o człowieku. Subtelne są a jednak nadzwyczaj proste dowody duchowych zdolności człowieka. Jestto jeden z najciekawszych rozdziałów. Człowiek posiadający ducha i rozum, człowiek umiejący wykonować tyle rzemiosł i sztuk, człowiek umiejący myśleć, mówić, pisać jakżesz wyższym jest od zwierząt pozbawionych tego wszystkiego. Wykład teraz śmiałym krokiem idzie naprzód. Jest stopniowanie. Ziemia martwa, roślina doskonalsza, zwierze jeszcze doskonalsze, człowiek jeszcze doskonalszy; — ale czy człowiek wszystko zdziałać potrafił, czy człowiek zapalił słońce na błękicie, czy człowiek poszerzył ręką żywioły, czy rozkazał grzmotom i piorunom, wiośnie i zimie, dniowi i nocy?.. Musi być jeszcze doskonalsza istota, wyższa i silniejsza nad to wszystko, — Bóg.

Taką jest pierwsza najważniejsza część metody. Odtąd idzie dalsza praca: „Poznanie Najwyższej Istoty“ tj. nauka o Jej przymiotach. Przedmiotu tak ważnego nie możemy ująć w krótkich słowach jak nam na to miejsce pozwala, ograniczymy się więc tylko podaniem tytułów następnych rozdziałów: Wyobrażenie dobrego w przeciwstawieniu ze złem. Obowiązki człowieka względem Boga, bliźnich i samego siebie (Rodzice, Bóg nasz ojciec, dobroczyńcy, król, władza wojskowa, cywilna, duchowna, społeczność). Przyszłe przeznaczenie człowieka (śmierć, sąd). Wykład modlitwy pańskiej.

Słyszeliśmy, że metoda ta staraniem JW. Dyrektora Instytutu ma się tłomaczyć na obce języki.

W dalszym ciągu Pamiętnika spotykamy dokładne sprawozdanie o kongresie odbytym w Wiedniu 1873 r. w sprawie wychowania ociemniałych p. Dyrektora Instytutu Jana Papłońskiego napisane. Przepisy dla współmieszkania ociemniałych (tj. byłych wychowańców Instytutu) o ich kasie groszowej, kasie pożyczkowej i sądzie braterskim, co wszystko dowodzi jak los tych ludzi leży dostojnemu Dyrektorowi na sercu. Wreszcie dział sprawozdawczy z części wychowawczo-naukowej i administracyjnej Instytutu. Chcielibyśmy przy końcu małe jeszcze zrobić zaznaczenie.

Porównywając ostatni Pamiętnik Instytutu (rok piąty) z przedostatnim (rok czwarty) z żalem spostrzegliśmy, że wprowadzona w poprzednim Pamiętniku rubryka rozbiorów dzieł elementarnych w ostatnim miejsca nie znalazła. A przecież rubryka ta miała wiele za sobą, choćby przez to samo; że mogła uczynić Pamiętnik popularniejszym i więcej budzącym interesu w świecie pedagogicznym. Wtych latach właśnie potrzeba nam krytyk, dzieł elementarnych przez fachowych ludzi opracowanych. Wtych latach, kiedy staramy podźwignąć się z bezmyślnego mechanizmu w początkowem nauczaniu, w tych latach, kiedy pojawiły się całe seryje podręczników elementarnych i czekają na bezstronne a wyczerpujące i sprawiedliwe rozbiory. Sądzimy że Instytut wydając tak poważną publikacyją, posiadając tak liczne grono wytrawnych nauczycieli, najwięcej ma ku temu środków i najwłaściwiej zadanie to wypełnićby potrafił.

Wł.

Beecher-Stowe „Moja Żona i Ja.“ Warszawa 1874 r. u Czarnowskiego i Sp. przekład Stanisława Ornowskiego, t. 1. cena rs. 1 kop. 50.

Utwór ten jednej z najznakomitszych autorek amerykańskich, odznacza się szeroką i doniosłą tendencyją i piękną wykończoną formą artystyczną. W obrazach pełnych werwy, humoru i satyry, silnemi barwami rysuje autorka różnorodne odcienia życia społecznego, a przeważnie zajmuje się kwestyją emancypacyi kobiet. Mimo obcego życia, na tle którego powieść p. B. S. jest skreślona, nie mniej jednakże przedstawia ona dla nas interesu, zawiera bowiem wiele wspólnych rysów i postaci, wiele myśli, w sferze życia naszego równie doniosłych. Słowem, jest to prawdziwie drogocenny nabytek dla piśmiennictwa naszego.

Odczyt o gimnastyce ze stanowiska lekarskiego, miany przez Maryjana Olszewskiego, właściciela instytutu leczniczego gimnastyką. Warszawa 1874 r. str. 74. 16-ki.

W pierwszej części swej pracy kreśli autor historyczny rys rozwoju gimnastyki od najdawniejszych czasów, aż do chwili obecnej. W drugiej zaś części wykazuje zbawienny wpływ jej na organizm ludzki. Gruntowna znajomość rzeczy wykazuje w autorze zdolnego specyjalistę.

A. P.

ŚLADY ŻYCIA.

VII.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Pisaliśmy już nieraz o niedostatkach pedagogicznych naszych pensyj prywatnych a zwłaszcza żeńskich. Lso ich jest jeszcze i z tego względu godny uwagi że panie przełożone przez wrodzoną kobietom delikatność, nieraz wolą przez szpary patrzeć na jakąś niedokładność aniżeli narazić się panu profesorowi—z drugiej zaś strony rodzice dzieci, tą samą powodowani delikatnością, nieupominają się o to nawet, do czego mają największe prawo. A tymczasem trafiają się fakta, które już nietylko rodziców ale wprost każdego człowieka rozsądnego interesować powinny i które muszą być ogłoszone ażeby zwrócić uwagę ogółu i skłonić go do większej kontroli.— Na jednej z pensyj tutejszych, daje lekcyje nauczyciel religii, który zadając po kilkanaście kart do pamięciowej nauki, kazał wreszcie dzieciom narysować mapę Palestyny, na *kilkałokciowych arkuszach papieru*, dodając przytem że która *większą* mapę przyniesie, lepszy dostanie stopień. Zabawny ten nakaz wywołał humorystyczne uwagi felijotonisty *Kolców.* Przeczytawszy je, szanowny pedagog poświęca najbliższą lekcyję *religii* następującemu zajęciu. Dyktuje dzieciom sążnistą odpowiedź na zarzuty „Kolców“ i każe ją każdej z uczennic przepisać na czysto na drugiej stronie mapy. W odpowiedzi tej usprawiedliwia fakt wielkości mapy, wielkością Jezusa Chrystusa który żył i nauczał w Palestynie, objaśnia że „Kolce“ już

wówczas kłuły głowę Chrystusa, — wymyśla felijetoniście tego pisma od błaznów, i w ogóle zdradza nietylko zupełny brak logiki i faktu, ale wogóle budzi podejrzenie że władze jego umysłowe, znajdują się w niebezpiecznym roztroju.

Sądzimy, że rodzice mają prawo wymagać ażeby lekcyję religii odbywały się bez dyktowanych polemik z pismami humorystycznemi, i ażeby cierpiącym na umyśle niepowierzano obowiązków pedagogicznych.

Prelekcyje odbywają się w najlepsze, w Dobroczynności rzemieślnicze — w Ratuszu na osady Rolne. Treść obu szczegółów urozmaicona, licznych też znajduje zwolenników. Średnio bywa po 500 kilkadziesiąt osób. Nowość stanowiła felijetonowa pogadanka o *ofiarach szyku* wypowiedziana z talentem przez p. Felicyjana Falińskiego, autora „Świetnych widoków.“ Odczyt ten pomieści Gazeta Polska. Między rzemieślniczemi odznaczył się odczyt p. P. Chmielowskiego o tem *co i jak czytać należy*. W przyszłą niedzielę o god. 4-ej mówić będzie p. J. Ochorowicz *O płucach i oddychaniu*.

Pierwsze przedstawienie „Krytyków“ ś. p. Chęcińskiego odbyło się przy niezmiernym natłoku publiczności—i przyniosło spory dochód pozostałej po artyście rodzinie. Tymczasem „Nietoperze“ p. Lubowskiego ciągle jeszcze ściągają tłumy do kasy. Komedyją tę przełożono już na język rosyjski i niemiecki. W oryginale drukowaną będzie w *Niwie*.

Są rzeczy które już chyba nie nadają się do humorystyki. Przypuszczaliśmy że należy do do nich niedawny w Warszawie wypadek, że żona zrozpaczona chorobą męża umarła nagle, a mąż połączył się z nią w ciągu kilku godzin. Otóż współczucie i żal jakie fakt ten obudził w sercach warszawian, stały się powodem liczniejszego niż zwykle zebrania się osób odprowadzających dwie trumny na miejsce wiecznego spoczynku. Gazecie Handlowej daje to powód do konceptów i drwin z publiczności. Czyżby odprowadzenie zmarłych tak bardzo przeszkadzało rozwojowi interesów handlowych?.

Tydzień Piotrkowski ożył, *Gazeta płocka* ma się narodzić — *Kuryjer Lubelski* wpadł w letarg — *Ekonomistę* ma zbudzić p. Nagórny ale o nowem piśmie literacko-naukowem, ani słuchu. Zdaje się że ogłoszenie to było farsą. Nie potwierdza się też bynajmniej wiadomość, że p. Leopold Kronenberg nabył gazetę „Ruski Mir“ której redakcyję obejmą dawni współpracownicy „Petersburgskich wiadomości.“

W laboratoryjum chemicznem p. Milicera odbyły się próby ogniowe nad cegłą krzeszowicką, które wykazały że nieustępuje ona w niczem najlepszym zagranicznym. Z przyjemnością powtarzamy tę nowinę że w laboratoryjum swem p. Milicer zamierza urządzić wykłady chemii.

Słyszeliśmy że do kodeksu obowiązującego urzędników pracujących w naszych instytucyjah prywatnych mają być wprawadzone nowe dwa paragrafy:

§ 1-y Pod karą utraty służby niewolno urzędnikom ani na krok wychodzić z biura bez opowiedzenia się swojemu zwierzchnikowi.

§ 2-i Niewolno urzędnikom prowadzić innej, jak tylko spraw biurowych dotyczącej rozmowy.

Co więcej to jak „Kuryjer Warszawski“ donosi w jednem z handlowych biur tutejszych, paragrafy powyższe weszły już w wykonanie— a nawet urzędnicy tegoż biura otrzymać mają rozporządzenie: z której wyłącznie fabryki „używać“ winni papierosów od którego krawca obowiązani będą brać ubranie i t p.

Z tem wszystkiem jednak, takciki podobne nie są bynajmniej gorszemi. Pracownicy bowiem, o jakich mowa toć to przecież *biali murzyni*, a czyż nabywającym ich plantatorom nie wolno swej własności (!!) nietylko materyjalnie eksplantować ale i moralnie gnębić?!...

Dowiadujemy się z dobrego źródła iż jeden z projektów p. Ludwika Jarockiego, o których pisaliśmy jeszcze w roku zeszłym, przychodzi obecnie do skutku. Mówimy to o towarzystwie przemysłowem nod nazwą *„Przedsiębierstwo wyrobu sztucznego kamienia“* jakie na mocy układu przed Rejentem Włodzimierzem Kretkowskim, w dniu 12 b. m. zawiązanem zostało.

Towarzystwo wspomniane ma za zadanie budowę domów i innych robót odpowiednich jak pomników, gzemsów, posadzek, chodników, rynsztoków, studzien, kadzi, żłobów i t. p. ze sztucznego kamienia czyli z betonu.

Towarzystwo działalność swoję nie tylko do samej Warszawy ogranicza, ma ono o wszem zamiar rozwijać się i na prowincyi i w tym celu tak w stolicy jak w innych miejscowościach kraju, zakładać będzie na odpowiednią skalę *fabryki sztucznego kamienia*, bądź stałe bądź czasowe tylko, czyli tak zwane oddziały fabryczne ruchome, przysposabiające materyjał na miejscu budowy.

Towarzystwo składają pp. Kudwik na Jaroczynie Jarocki, Konstanty Łączyński, Leon Maleszewski, Wyczołkowski, Hornowski, Karol Wendorf i Karol Ordęga. Dyrektorem przedsiębierstwa jest p. Jarocki, którego wyroby z betonu, na ostatniej wystawie naszej rolniczej powszechne zyskały uznanie.

Jak nas zapewniano, przedsiebierstwo zamówiło już odpowiednie maszyny i z wiosną rozpocznie przygotowanie materyjałów a następnie zaraz do budowy domów przystąpi.

O ile przypominamy sobie p. Jarocki poruszał w roku zeszłym myśl utworzenia „towarzystwa budowy tanich mieszkań“ w domach właśnie z betonu wznosić się mających. Skoro więc będzie beton, może i na to drugie towarzystwo nie długo czekać przyjdzie a rzecz to dla uboższej ludności, pożądaną byłaby niezmiernie.

GOSPODARSTWO
i przemysł domowy.

Śledzie marynowane.

Bierze się śledzie małe tak zwane szwedzkie po 6 gr. lub duże tak zwane szoty, byle były świeże i tłuste; moczy się je 2 dni i dwie nocy odmieniając wodę dwa lub 3 razy na dzień. Jeśli bierzesz dużo śledzi tak np. pół kopy, to lepiej 3 razy przez dzień wodę odmienić a jeśli mniej, to 2 razy dosyć. Najpierw zawsze trzeba je obmyć z soli dopiero wodą czystą nalać. Skoro tak wymiękną, wtedy wyjąć je z wody na przetak lub pochyloną deseczkę, żeby osiąkły, następnie oprawić t. j. ociągnąć ze skórki całe, odkroiwszy tylko brzuszek. Mlecz i brzuszki, można włożyć w ocet; ikrę zaś i skórki a jeśli kto niechce marynować, to i mlecz i brzuszki można włożyć do gotującego się barszczu, czyli tak zwanego żuru z mąki, na post używanego, który się zaprawia zwykle mlekiem z mąką lub olejem. Dodawszy do owych śledziowych podróbek parę cebul całych, żur zgotuje się smaczny i tłusty będzie, choćby go żadną tłustością nie okraszono, zwłaszcza jeśli śledzi dużo było. Czeladź bardzo chętnie taki barszcz jada z kartoflami lub grochem okrągłym.

Oprawione zaś śledzie, ułóż w słoju, przełóż całą surową cebulą lub plasterkami cytryny i nalej zimnym, wpierw z korzeniami przegotowanym octem, (ocet na 12 groszy kwarta bardzo jest dobry do marynaty.) W kilka godzin, można śledzie już ułożyć na talerzu, ustroić plasterkami surowej lub z octu wyjętej cebuli jak kto lubi — a na wierzch posypać trochę tłuczonym pieprzem, oliwą polać, ocet podaj osobno, jeśli go kto zechce. Można ubrać śledzie szarlotką (rodzaj drobnej cebulki) która obgotowywa się w occie, następnie w słoiki układa i nalewa octem zimnym z korzeniami przegotowanym, aby potem służyć mogła do śledzi lub pieczystego, zwłaszcza do baraniej pieczeni. Śledzie można ubrać kaparkami domowemi, które się otrzymują z nasienia nasturcyi (żółty kwiatek ogrodowy.) Ziareczka te przyrządzają się jak szarlotka, tylko dłużej w occie gotować trzeba, bo są twardsze. Śledzie można ubrać i rydzami marynowanemi.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pni. *Sakiel w Powodeń*. Nr. 40 po raz 3-ci posyłamy, co do kalendarza, ten nie był wcale przeznaczonym dla tych p. p. prenumeratorów którzy dostali powieść: „pieniądz i praca“ gdyż ta stanowiła dodatek grudniowy pomimo to kalendarz posyłamy.

P. *Szczepowskiemu w Sarabowie*. Cena dziełka o małych błędach w gospodarstwie kop. 60 z przesyłką, w księg. A. Kowalskiego Nowy-świat Nr. 39.

P. *Galińskiemu w Kolnie*. Powieść Mohikanowie Paryzcy kosztuje rs. 2.

Do dzisiejszego numeru dołącza się na prowincyją cennik wyrobów z wełny sosnowej.

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.